

ARTUR OPPMAN (OR-OT)

MOJA WARSZAWA

OBRAZKI Z NIEDAWNYCH LAT

Z ILUSTRACJAMI ST. SAWICZEWSKIEGO



W A R S Z A W A

„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.

1 9 2 9

✓
ARTUR OPPMAN (OR-OT)

MOJA WARSZAWA

OBRAZKI Z NIEDAWNYCH LAT

Z ILUSTRACJAMI ST. SAWICZEWSKIEGO



W A R S Z A W A

„Księgarnia Polska” Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.

1 9 2 9

884-4:928 Oppman A.



821.162.1-82



Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

9.
11.4.47

WARSZAWA OD STRONY WISŁY.

Gdy wieczorna spływa chwila złota
I różowi dawnych domów ściany,
Ludzkie serca ogarnia tęsknota
I żal jakiś niewypowiedziany.

Myśl haftuje ledwo znacznym ściegiem
Dni istnienia chmurne i jaskrawe, —
Wtedy, siadłszy nad wiślanym brzegiem,
Lubię patrzeć na Starą Warszawę.

Pod parkiem Praskim, na wzgórku piaszczystym, usypanym od wieków przez nadrzeczne wiatry, wprost amfiteatralnie wznoszącego się Starego Miasta, usiądź, przyjacielu, miłośniku rzeczy pięknych, choć codziennych, i poświęć kwadransik przysłądaniu się rodzinnemu miastu, — a nie zmarnujesz tego czasu na pewno.

Przeciwnie: da ci on gamę wrażeń, których nie spodziewałeś się najzupełniej, oczaruje twe oczy widokiem, na który spoglądałeś obojętnie może setki razy, ale nie zauważyłeś go nigdy, — dopóki

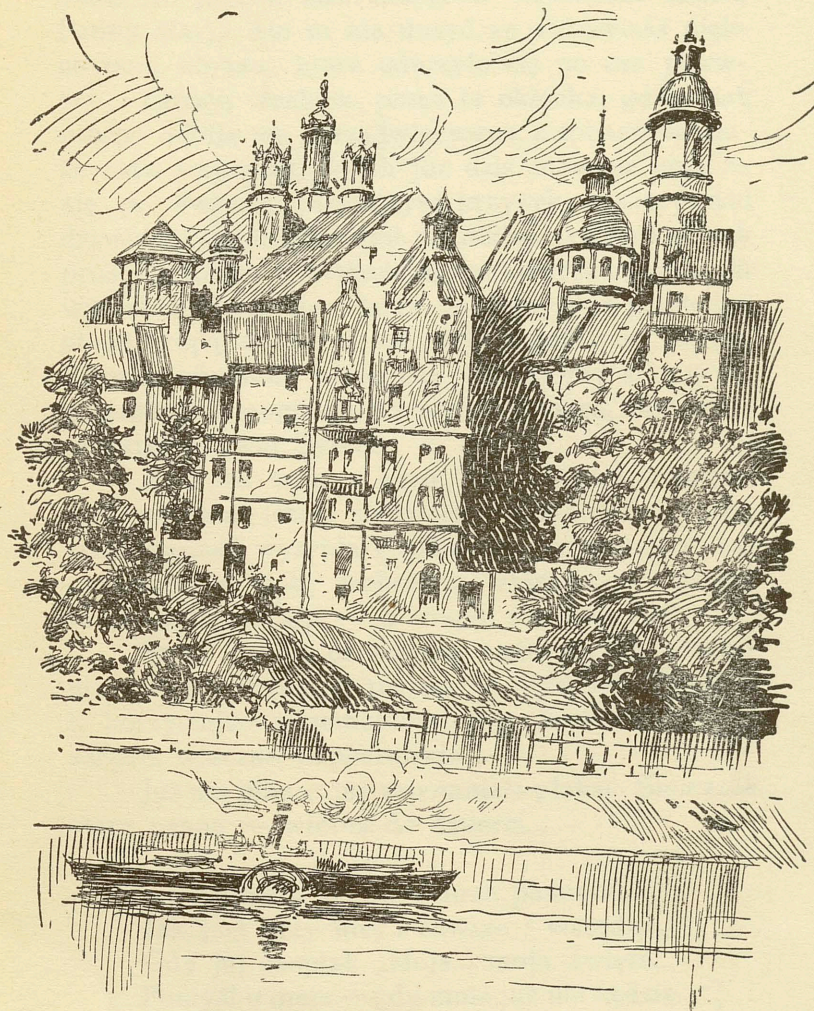
nie powiedziała ci o tem własna twoja dusza, albo
życzący ci lepiej, niż ty sam sobie, poeta.

Więc oto zachodzi słońce i cisza staje się uro-
czysta. Nawet na moście Kierbedzia jakby ucichł
nieustanny turkot dorożek i wozów, jakby zamilkły
tramwajowe sygnały i jakby zmniejszył się, zma-
lał gorączkowy ruch przechodniów. Jest cicho i tro-
chę sennie. Pluszcze leniwo fala wiślana, bezszmer-
nie przemykają się po niej lekkie spacerowe łodzie,
a woddali, na tratwie, stojącej nieruchomo na Wiśle,
rozpalają się wieczorzowe ogniska.

Naprzeciwno, wprost twojego wzroku,
Cud się wznosi, co stworzyły lata,
Dołem ginie w gęstwiejącym mroku,
Górą skrawa gra na nim poświata.

Purpurowe, jak krwi czerwień, plamy
Kolorują mury starożytne, —
A to wszystko zachód ujął w ramy,
Od zórz — złote, od niebios — błękitne.

Zamek królewski góruje monarszo nad tara-
sowym pełnym drzew ogrodem i stoi w zadumie,
jakkdyby marzył o umarłych czasach; dziwaczne
domki Kanonji, o drewnianych gankach i balustra-
dach, napraszają się pod ołówek i pędzel artysty;
trójcą wież świetlistych i koronkowych wybłyska
kościół katedralny; kłębią się splecione kamieniczki
staromiejskie, jaskrawie płonąc łamanymi dachy;



dostojnie panuje nad brzegiem odwieczna baszta Panny Marji. Ale to nie dosyć, że podziwiasz piękno tego obrazu, które uderzyło cię po raz pierwszy. Zajrzyj duchem przez te okienka, gdzie tak uroczo odbija się zorza wieczorna, a zobaczysz może ludzi i sprawy, jakich już dziś niewiele kołacze się po świecie. Zobaczysz krzyżyk, wiszący nad drzwiami, aby błogosławił pokoikom skromnym i ich prostodusznym mieszkańcom; zobaczysz na ścianach wyblakłe fotografie i stare dagerotypy, a pomiędzy niemi krepą oddawna osłonięte i uczczone świeżą kwieciami wiązką wizerunki tych, którzy śpią w zapomnianych mogiłach, po borach i lasach, albo w lodowatej pustyni Sybiru.

A może tam, w kącie, w głębokim uszatym, wolterowskim fotelu siedzi jeszcze staruszka ciotka, stara panna, wyschła i żółta, jak gromnica, z zaczesanemi w nioby srebrnemi włosami — i patrzy w stronę fotografii — w krepie i w kwiatach.

Stara panna, dziwaczka, śmieszna dla otoczenia, patrzy, różaniec trzyma w drżących dłoniach i, korzystając z samotności i z wieczornej ciszy, szepce: wieczne odpocznienie...

Już nie płacze: już zapomniała płakać. Śmieszna stara panna — wierna do śmierci...

Jak pamięta — jak dobrze pamięta!
Jak jest przy niej i zawsze i wszędzie,
Gdy jej szeptał: „Moja... moja święta...
Pomyśl o mnie — gdy mnie już nie będzie...”

A dziewczątko zacisnęło dłonie,
Jak dziś dusi stara panna łkanie, —
Ach, bo wierzy, że po tamtej stronie
Bóg jej zwróci najdroższe kochanie...

A tymczasem nad Wisłą, nad Starem Miastem,
nad Warszawą zagasło słońce. Gwiazdy wyfrunęły
na niebo, jak srebrzystych ptaków miliony, i mrugają
do ziemi i uśmiechają się do ludzi. Wiedzą
o wszystkim, znają cierpienia i rozpacze serc —
i dają im otuchę — i moc — wytrwanie.

Popatrz się jeszcze od strony rzeki na swoje
miasto rodzinne. Ma ono winy i grzechy, o, ma ich
bezliku! ale uwierz w to gorąco, że ma i serce
szlachetne, które, chociażby w letarg zapadło —
w gromowej chwili się zbudzi!

Noc wylewa zapomnienia czarę
Na Starego Miasta obraz śliczny —
I usypia cicho Miasto Stare
W księżycowej poświacie magicznej.

Patrzę w okno, w zapaloną świecę,
Gdzie ktoś może łzy wstrzymuje krwawe...
Chryste z Fary! miej w swojej opiece
I tę starą — i nową Warszawę...

KANONJA.

Pani, która napisała do mnie śliczny
list i podpisała się: „Warszawianka“.

Pada na placyk senny zmierzch,
Na Anioł Pański dzwonek dzwoni,
Gore w zachodzie Fary wierzch
I okna domków na Kanonji.

Wszystko, co było, wstaje znów
Z wylatujących w przeszłość pieśni, —
Lecz ze straconych życia snów
Żaden — raz drugi się nie prześni.

Miał szczęście do pieśniarzy ten zaciszny, miły,
taki bliski miasta, a tak jednak od niego oddalony
placyk. Śpiewali o Kanonji Gomulicki i Miron,
obaj w najpiękniejszych swoich i najbardziej popu-
larnych wierszach; Gomulicki mieszkał tu nawet,
za swoich młodych lat, na facjacie, w dawnym pa-
łacu Staszica, kiedy to „kochał książki i dziewczę-
ta“, co zresztą pozostało mu na całe przepojone
poezją życie, jak każdemu prawdziwemu poecie.

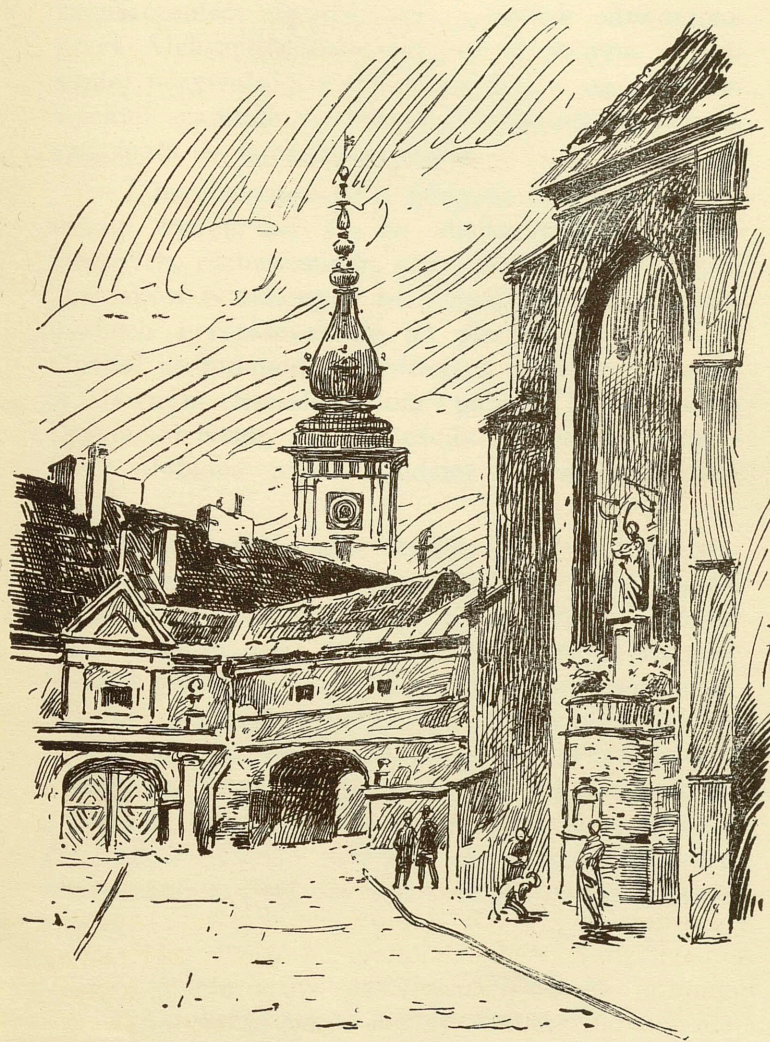
Czar, wiejący ze starych murów, udzielał się nie tylko mieszkańcom tego uroczego zakątka, ale i zwiedzającym go miłośnikom starej Warszawy, wśród których prym trzymali — malarze.

Zdarzało się niekiedy, iż trzech, czterech lub pięciu nawet jednocześnie artystów, w rozmaitych punktach Kanonji, bądź ustawwszy stalugi, bądź przysiadłszy na progu którego z kanoniczych domków, szkicowali: wylot na Jezuicką, Dziekanję, Iłę czy ową połąć placyku z najbardziej charakterystycznym budynkiem lub wreszcie: tyły katedry, z pełnym niebiańskiego wdzięku posągim Najświętszej Marji Panny, tak litościwie patrzącej na ludzką nędzę i ludzkie łzy.

Błękitna lampka pali się —
Na starym rynku brzmi piosenka —
Ze źrenic leci łza po łzie —
I czyjeś serce z żalu pęka.

A posąg chyli boską twarz
I na nędzarzu rękę kładnie —
I jakbyś słyszał: jeszcze masz
Niejedną perłę w sercu na dnie.

Przed wieloma laty, kiedy jeszcze nie przebudowano niektórych domów na Kanonji, kiedy, zamiast istniejących dziś oficyn od Wisły, zieleniały konarami drzew i barwiły się różnorakiem kwieciami nawpół dzikie, czarujące tem właśnie swem



zapuszczeniem ogrody, tak cudownie odtworzone przez Aleksandra Gierymskiego w jednym z najsilniej porywających jego obrazów, — na ulicy Jezuckiej szumiało życiem ruchliwem, młodzieńcem, radosnem — gimnazjum realne.

Z tego gimnazjum o godzinie dwunastej w południe wysypywał się na wielką pauzę rój rozśmianych, rozbawionych, szczęśliwych i figlujących uczniów w zielonych ze złotymi guzikami mundurkach i rozbiegał się na placu Kanonji lub wpadał na moment do jednego z ogrodów, właśnie w dawnym Staszicowskim pałacu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie mieściła się podówczas znana i ulubiona przez młodzież gimnazjalną mleczarnia.

Jakiż gwałt, jakiż krzyk, jakiż śmiech rozbrzmiewał w ogródku z prześlicznym widokiem na Wisłę i zawiślańskie — aż po Grochów — pola! Jakiż niepowrotny już nigdy wdźwięk rozpromieniał nawpół dziecięce twarzyczki! Starsi cichutko rozprawiali o sztuce i polityce — spiskowali; byli to czytelnicy „Prawdy“, wielbicieli Świętochowskiego i Marjana Bohusza; młodszy pędem wypijali mleko i połykali kajzerki, aby zdążyć jeszcze na Piwną do „gołębiarskiego“ sklepiku, aby napatrzeć się na niesłychanych „fajfrów“ i na tkliwie gruchające turkawki.

A tam — od zmiennych Wisły fal,
Co wciąż się w barwie przeinacza,

Leci, jak mewa w morską dal,
Pełna tęsknoty pieśń flisacza.

I młoda dusza rwie się, rwie,
Jak ta piosenka, smutkiem chora, —
A tutaj trzeba wracać się —
Do moskiewskiego — „profesora!“.

W domkach na Kanonji tradycyjnie straszło.
Kto straszył i co straszło — nie wiadomo. Dość,
że po dwunastej w nocy żadna służąca za skarby
świata nie wyszłaby do piwnicy, na podwórko lub
do sieni, o ile, oczywiście, nie oczekiwał na nią —
kochanek.

„Bo to we dwoje, proszę łaski pani, zawsze
raźniej.“

Ja jestem tego samego zdania, więc nie dzi-
wiłem się nigdy obawom pokojówek.

Najśliczniejsze i najmiłsze były na Kanonji —
facjatki. Tam, ach, tam w wiosenne, w letnie, w je-
sienne wieczory siedzieć w okienku i marzyć — nie
samotnie — cóż za raj na ziemi!

Na niebie gwiazdy — i dwie gwiazdy żrenic,
wpatrzone w twe oczy; za oknem melodia fal wi-
ślanych — a obok ciebie srebrzysty głosik, który
szepce: kocham; z ogrodów zapach róż i jaśminów,
a tuż przy tobie uroczą woń ustek najdroższych
i ukochanych warkoczy.

Piszę i marzę w wieczór ten —
Zagląda w okno blask miesiąca —

I jeden mi się roi sen:
Dziewicza postać czarująca.

Rozdzieram gęstą bytu mgłę,
W której mi duszno żyć, jak w klatce —
I wciąż przed sobą widzę tę,
Którą tak chcę mieć — na facjatce!

PODWÓRKO.

Z mgły dzieciństwa wskrzesza, jak na jawie,
By przewionąć, jak widzenie senne,
Niby zawsze takie samo prawie,
A jednakże co chwila odmienne.

Jeszcze, zda się, bruki na niem mokną
Po tym deszczu, co przeleciał z chmurką, —
I tak nęci, widziane przez okno,
Kalejdoskop — warszawskie podwórko.

Długie jak kiszka, dość szerokie, ujęte w czwo-
robok żółtych, odrapanych murów i staroświeckich,
drewnianych, na wysokości piętra, balkonów. Za-
śmieczone i brudne, w części brukowane ostremi,
nierównymi kamieniami, z pośród których wyrasta
suchotnicza trawka, w części udeptane tylko, jak
klepisko, i zasnute suchym pyłem, wznoszącym się
tumanami w skwarne dni lata, kiedy wre na po-
dwórku zabawa w „czarnego luda“, w „klipe“,
w „ekstrę“ i w „ślełą babkę“.

Tuż za bramą, u której szczytu wisi potężna
odrutowana latarnia, pod boczną oficyną, wejście

z zielonym daszkiem. Nad wejściem powiewają dwa brudne rulony waty i widnieje upstrzony przez muchy karton z napisem: „Waciaż“.

Po drugiej stronie bramy ogromne, spadziste, oślizgłą blachą pokryte, podwójne drzwi od loszku, który jest składem i spiżarnią „bawarji“, mieszczącej się w suterenie od ulicy. Na tych drzwiach latem i zimą urządzano „saneczkowanie“ własną osobą, z wielkiem ukrzywdzeniem spodenek i z większem jeszcze niezadowoleniem właściciela piwiarni, który — ni stąd, ni zowąd — podnosił nagle obie połowy furty i malca, z impetem wylatującego w powietrze, chwycił „w skoku“ za uszy.

„Najrańszą“ i najmniej zajmującą osobą z galerji podwórkowych typów była zjawiająca się bodaj-że ze świtem „baba od nabożnych pieśni“.

Wyśpiewywała ona głosem ochryłym, powiedziałbym „alembikowym“, i rytmicznie przerywanym czkawką, dziwaczne hymny, w których niepojętym sposobem wiązał się król „Sobiecki“ z Prusakami, a Najświętsza Panienka — z nią samą.

Brzmiało to mniej-więcej tak:

„Za mną się wstawia Panna z Częstochowy,
Od niej ja zawsze grosik mam gotowy.
Kto mnie wspomógł, ma cztery zdrowaśki —
I u Niej łaski.“

Drugą z kolei wizytatorką podwórza była — kościarka.



Dama ta, z ustaloną u kucharek i pokojówek opinią „lafiryndy“ (rzecz prosta: za bardzo odległych czasów), wsuwała się na podwórko krokiem ceremonjalnym, stawiała pośrodku z gracją urodzonej koncertantki i, z niewypowiedzianą dystynkcją wznosząc oczy ku niebu, zawodziła piskliwym falsetem:

„Kośćji kupuję, kośćji!“

Gdy zaś wołanie to nie odnosiło skutku, dama zniżała się do śmietnika i, mruczając gniewnie (jak powiadały służące, po francusku), wyciągała haczykiem wszystko, co było już bez wartości, tak jak ona sama, biedactwo.

Trzecim zrzędu był — katarzyniarz.

W „dolnych sferach“ zostawił legendę
I żal gorzki, do dzisiaj trwający.
Chyba wierszem o nim pisać będę
I elegję utworzę niechęcący.

Gdy go wspomnę, wnet mi serce mięknie,
Jak Marysi, co jest u „dochtóra“: —
Któż dziś zagra tak tkliwie i pięknie
Arję z „Marty“, albo „Trubadura“?

A potem sypali się już na podwórko goście nieprzerwanym aż do zmroku szeregiem.

Wkraczała więc rodzina linoskoków i sztukmistrzów: ojciec, matka, synek i córeczka — wszyscy w trykotach, rozkładali dywanik na ostrych kamie-

niach, kłaniali się z wdziękiem zapchanym widzami oknom, a podczas gdy korpulentna mama grała na trąbie, papa z potomstwem wyczyniał najróżniejsze łamańce.

Następnie za trąbę imał się tata, a mama — siłaczka — podrzucała kule — drewniane, dźwigała ciężary — gipsowe i wyginała się jak wąż, budząc nie tyle podziw, ile śmiech i półgłosne a złośliwe uwagi, zwłaszcza płci męskiej.

Opuszczali podwórko syci chwały i trojaków.

Pospolita, lecz zawsze mile na podwórku witaną osobą była czeska harfiarka.

Miała ona na sobie sukienkę zieloną lub żółtą, na głowie chusteczkę ponsową, na nogach męskie buty, a na plecach — arfę.

Bogaty był repertuar harfiarki. Zawierał on ballady i romanse, sielanki i erotyczne pieśni, lecz jedną z najchętniej słuchanych była owa wdzięczna i wykwintna piosneczka, którą potem z upodobaniem i ze szczególnym naciskiem powtarzała zawiedziona w marzeniach płeć piękna ze wszystkich garderób i kuchni.

„Zaprosił mnie szewczyk
Na kufelek piwa.
Sięga do kieszeni:
Ani grosza niema.

Ja się zawstydziła,
Piwo zapłaciła,

Pantofelek zdjęła,
Po pysku wybiła...”

Nie dosyć na tem.

A magik, co to łykał szpady, pożerał węgle żarzące i bywał w Hiszpanji, „gdzie wielkie deszcze padali”; a muzyka włoska, grająca na czemś podobnem do pianina, które toczyło się na kółkach; a poliszynel, urządzający z za parawanu niesłychane a tragiczne historie, kończące się zbiorową śmiercią wszystkich biorących udział w sztuce; a wreszcie sznur żebraków, śpiewających tenorem lub basem, deklamujących, jak Hamlet z prowincji, tańczących, jak derwisze Wschodu i — w danym razie — wymysławiających, jak najrzetelniejszy nadwiślański andrus.

A gdy z nieba spadły mroki duże
I nad dachy wyszedł księżyc złoty,
Na swą własność objęły podwórze
Psy zgłodniałe i kochliwe koty.

Przerywają ciszę wieczorową
Miauuki kocich serenad miłości, —
A dziad z łysą jak kolano głową
Patrzy z okna — i kotom zazdrości.

SIEŃ.

Sklepiona, wąska, długa sień,
Nawet w lipcowy skwar — zimowa.
Tam mrok panuje w jasny dzień,
A nocą lampka tli naftowa.

Niegdyś ładowne paki w niej
Stały, by ruszyć w świat, do Gdańska,
Patrycjusz zysk obliczał — hej! —
W oczach fortuna rośnie pańska!

Jakby ci zamajaczyło średniowiecze. Łuki go-
tyckie u szczytu, tafle kamienne pod stopą, mury
pokryte pleśnią zielonkawą, a nad sienią widnieje
wyrzeźnana w kamieniu głowa srogiego murzyna:
wspomnienie zamorskich handlów i godło możnego
mieszczańskiego rodu, wywodzącego się z „Królowej
Adrji, z Wenecji“.

Nie kroczy już tędy dostojny pan tego domu,
przezacny ławnik albo rajca miejski, nie huczą cięż-
kie kroki mnogich rubasznych pacholków, ani też
nie przewieje, jak wizja, złotowłosa Zofka czy Greta,

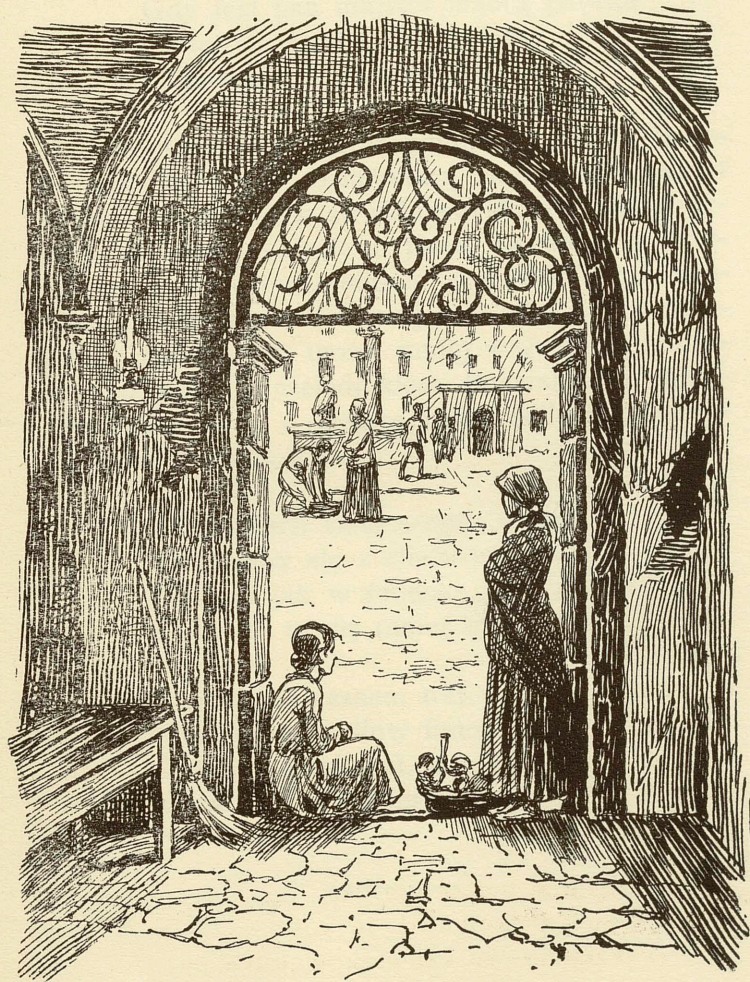
córuś umiłowana. Zato przesiaduje w niej zafrasowany „pan dozorca“, spluwając co chwila siarczyście, ile że rozmyśla właśnie o surowym, „od rewirowego gorszym“, przodowniku i o nędznym, złotówki nie wartym, proficie z otwierania zamczystej furty.

Z sieni na lewo widać loch,
Drobne okienko kryje krata:
We łzach tam może czeka — och! —
Wybladły więzień na miecz kata.

Szczękły ci zęby, zsiniał nos,
Uderza siódmy pot do głowy, —
Aż cię orzeźwi miły głos:
„Niech tego śledzia zje pan zdrowy!“

Sień staromiejskiej kamienicy jest poniekąd jakby klubem uboższych mieszkańców domu. Tu spotykają się właścicielka pralni z posiadaczką magła, które to spotkania kończą się zazwyczaj grubą awanturą; tu woźny z magistratu rozprawia mądrze o polityce z bileterem teatralnym; tu wreszcie w upalne dni letnie zasiada na zydelku majster Walenty, by w ciszy i w chłodku kontynuować przybijanie podeszew.

Błękitne niebo leje żar,
Ogień przenika aż do kości.
Wziął szewc kamaszków kilka par,
Pracuje sobie „w przezpieczności“.



Albo mu tutaj w sieni źle,
Gdy jest pan majster mądrą główką
I wie, jak trzeba chłodzić się:
Doppeltkimelem lub miętówką?

A wieczorami ciemna, pomimo migocącej lampki, sień staje się rozmównicą służących z całego domu. W przelocie ze sklepiku do kuchni zatrzymują się tutaj Antosie i Józie, Leokadje i Marcjanny, by przedewszystkiem wymienić sobie wzajemnie ciekawe plotki, kursujące w ulicy, a powtórzyć to, o dziwo! jest może mniej ważne — poflirtować co nieco z czeladnikiem ślusarskim, z chłopcem sklepowym, z dozorcą, albo najlepiej z ordynansem od porucznika.

W kąciakach sieni szeptu szmer
Na zmiany się z chichotem snuje,
Całkiem jak w świecie „lepszych sfer“, —
Tylko że tu się mniej blaguje.

A choć się czasem trafi zgrzyt,
Nieubarwiony słów finezją, —
O, muzo moja! cyt, ach, cyt! —
Miłość i w sieni jest poezją...

SZYLDY I ZNAKI.

Ponad wejściem nęci wzrok
Złote winne grono,
Pod to godło skieruj krok:
Oczy ci zapłoną!

Jakbyś wszystkich smutków zbył,
Serce dźwięknie dzwonem,
Będiesz marzył, będziesz żył
Pod tem winnem gronem.

Jakże inaczej wyglądała dawna Warszawa, nawet jeszcze przed kilkudziesięciu laty! O ile więcej barwy i stylu miała podówczas stolica, nietylko na Starem Mieście, ale i w przyległych do tej skarbnicy pamiątek dzielnicach! Zamiast naprzykład szumnych napisów: „Magazyn obuwia damskiego i męskiego“ widniał poprostu nad sklepem dobroduszny niedźwiedź, dzierżący w kosmatych łapach potężny but. Wiedziałeś wtedy na pewno, że tu właśnie przebywa nie „fabrykant“ albo „wytwórca“ kamaszków i ciżem, ale zwykły, poczciwy, sławny na całą Polskę warszawski — szewc.

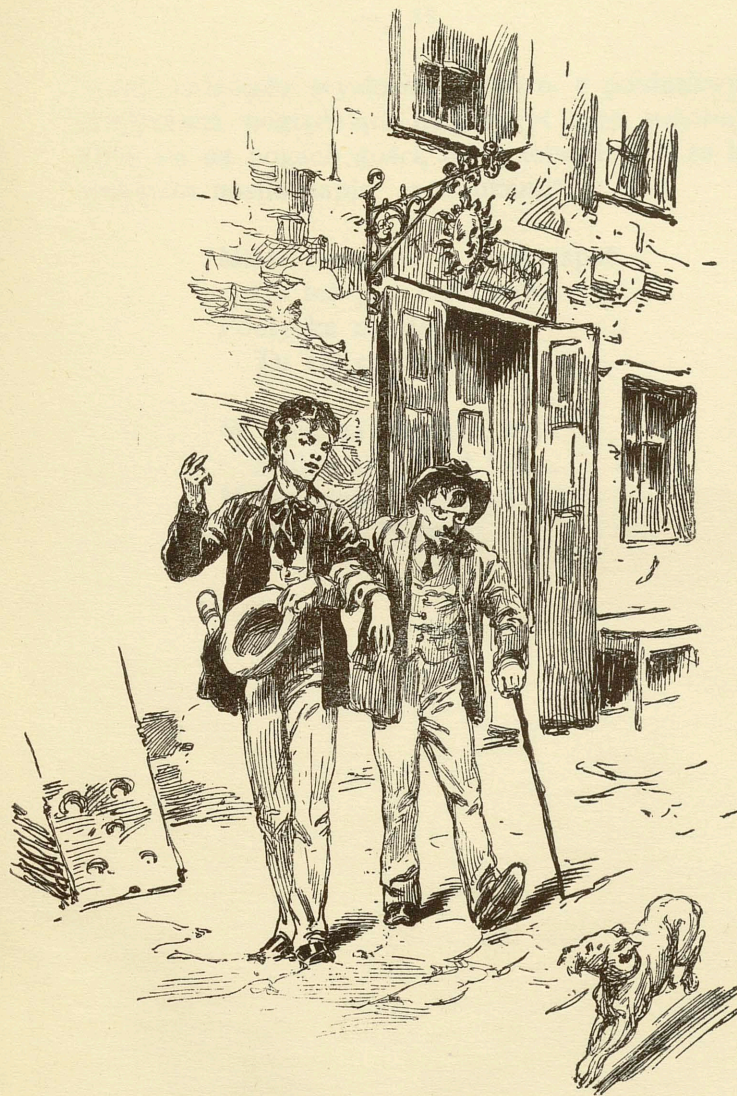
Sklep kolonjalny, dajmy na to jak sklep Mincla, tak wyraziście opisany przez Prusa w „Lalce“, miewał zwykle po obu stronach wejścia ogromne kolorowe znaki: na jednym kosoooki Chińczyk siedział na pakach herbaty, na drugim barwisty łowicki „Księżak“ dźwigał piramidy z głów cukru; w oknie też przywabiał dzieciarnię porcelanowy Chińczyk, kiwający nieustannie głową i pokazujący język ku uciesze gawiedzi.

Od dziecinnych pomnę lat,
Jak mnie Chińczyk taki
Gdzieś w nieznany wołał świat,
Na dalekie szlaki.

Wysechł dawnych wspomnień zdroj,
Znikł, jak sen, pośpiesznie...
Gdzieżeś ty, Chińczyku mój
I sklepie na Lesznie?

Ślusarza oznaczał wielki mosiężny klucz, bednarza — beczka, wisząca na żelaznym drążku, powroźnika — misterna karetka, a winiarza — chorągiewka, na której konny, ukoronowany rycerz wychylał butelkę tokaju, patrząc na napis: „Pod królem węgierskim“.

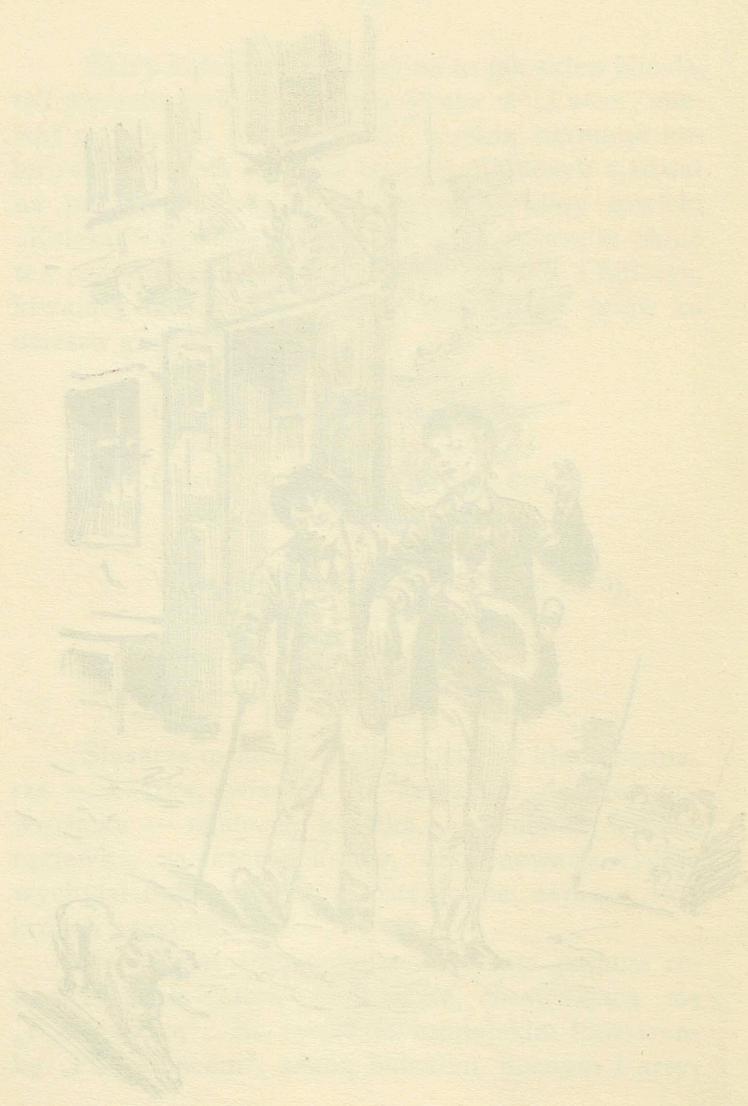
Na Piwnej żółtozielona drewniana papuga rekomendowała starą garkuchnię, nazywającą się „Pod papugą“. Na rynku staromiejskim kawiarenkę „Pod słońcem“, znaną hulakom nocnym i arty-



stom, ozdabiało wyzłocone słońce, z pobłażliwym uśmiechem poglądające na niezbyt tęgo trzymających się na nogach gości, bo trzeba dodać, że kawiarenka nosiła napis: „z trunkami“.

Miał cnotliwie w domu spać,
Co też jest rzecz miła,
Poetycka młoda brać
Tu się cygała.

W onej kawiarence, hej!
Śnił się przed laty...
Miron pieśń poświęcił jej.
Obrazek Pillati.



GOŁĘBIE.

Nad kościołem katedralnym
Śnieżnobiałe ptaki lecą,
Jak gwiazd deszczem lśnią nawałnym,
Jak liljami błękit kwieć.

To się w lotną chmurkę wedrą,
To mknie w słońce rój skrzydlaty —
I wirują nad katedrą,
Jakby żywe poematy.

Miłe te ptaki, sielankowy symbol czulej i tkliwej miłości, uwiecznione w sentymentalnych sztambuchach, w których, trzymając w dziobku serce przebite strzałą, wzruszały do łez nasze ampirowe prababki, upodobały sobie szczególnie dzielnicę staromiejską. Na kościele świętojańskim i na dzwonnicy obocznej gruchają całe ich stada, a potem, jak srebrzyste płatki śniegu, spadają na cichy placyk Kanonji. W złoty i purpurowy odwieczarz, kiedy w oknach kamienic prastarych krwawią się ostatnie blaski zachodzącego słońca, na rynku staromiejskim spacerują poważnie, i nie płoszy ich ani krzyk roz-

bawionych dzieci, ani wrzaskliwe rozmowy kumoszek, ani nawet turkot zrzadka tu zajeżdżających dorożek.

A gdy dzwonią Anioł Pański,
Gdy gwar miasta mrze na mgnienie,
Na ulicy Świętojańskiej
Przelatują jak marzenie.

Białem stadem rozżęsknionem
Do dzwonnicych płyną pował
I tak krążą ponad dzwonem,
Jakby dzwon ich oczarował.

Na Freta, w pobliżu kościołów Paulinów i Dominikanów, jest również ulubiona ich stacja. Obsiadają wysmukłe wieżyce świątynne, girlandą otaczają posąg Najświętszej Panny, a często otwartymi oknami wpływają do wnętrza przybytków i pod sklepieniem przesuwają się po gżemsach cicho i bezszelestnie, jakby świadome, że to dom Boży.

Znają je mieszkańcy okoliczni i nie czynią im krzywdy; przepadają zaś za niemi panienki o wezbranych uczuciem serduszkach i — dla kontrastu — z wygasłym sercem emeryci.

Punkt dwunasta. Dzień słoneczny
Iskierkami złota prószy,
Stoi sobie dziad odwieczny
I gołąbkom bułkę kruszy.

A tuż obok trzpiot panienka
Jest dziadowi za sąsiadkę,
I milutka biała ręka
Ciska ptaszkom — czekoladkę...

Ale mają gołębie i wrogów. Oprócz jastrzębi, które polują na nie dość często, są inni jeszcze ich łowcy i gwałciciele gołębiej swobody.

Są to tak zwani „gołębiarze“. Gołębiarz jest to człowiek płci męskiej od lat 12-u do 60-ciu, o niczem innem nie myślący, jak tylko o gołębiach. Zna on wszystkie, najróżniejsze ich odmiany i nazwy, cały zaś dzień bezmała przesiaduje na dachu, wabiąc szmatą, osadzoną na długiej tyce, poetyczne, ale nie najmądrzejsze ptaki.

A gdy da się wziąć niebożę,
Kiedy zamknąć się pozwoli,
Święty Boże nie pomoże —
Już on teraz jak w niewoli.

Podobieństwa ani trochy
Do chwil szczęsnych, które zmienił, —
Właśnie jak ten młodzian płochy,
Co to „wziął się“ — i ożenił...

FACJATKA.

W małym okienku naprzeciwko,
Gdziem latał myślą szparką,
Siadała rankiem „panna z grzywką“:
Jest szwaczka lub modniarka.

Z błękitnych źrenic tryskał spryt,
Z różanych warg ponęta...
Ach, i do dziś mi żal i wstyd,
Żem był jak dusza święta.

Do dziś są facjatki, ugarniowane lakami i fuksjami, i do dziś siadują w nich panienki z grzywką, tylko że inne to są już panienki, nie te dawne, ze wspomnień młodzieńczych bardzo teraz poszpakowaciących poetów i z prześlicznych wierszy Asnyka, Ordony, Mirona i Włodzimierza Wolskiego. Facjatka z tamtych czasów miała swój specjalny romantyczny wdźwięk. Małeńka była, lecz schludna, ozdobiona kwiatami i muślinowymi firankami, rozbrzmiewająca beztróskim śpiewem lekkomyślnej, ale dobrej, pocziwej dziewczyny. Nierzadko też na takiej facjatce mignął przez zasłony przejrzyste cień studenta, akademika, jak to się wtedy mówiło,

i — niedyskretny sąsiedzie — widziałeś z zazdrością splecione w uścisku ręce i połączone pocałunkiem usta. „Nie mijaj, chwilo... jakżeś piękna...”

Co będzie jutro, któż odgadnie?
Pijmy, co życie daje.
W kwitnącej wiosnie jak to ładnie
W nadziemskie wzlatać kraje!

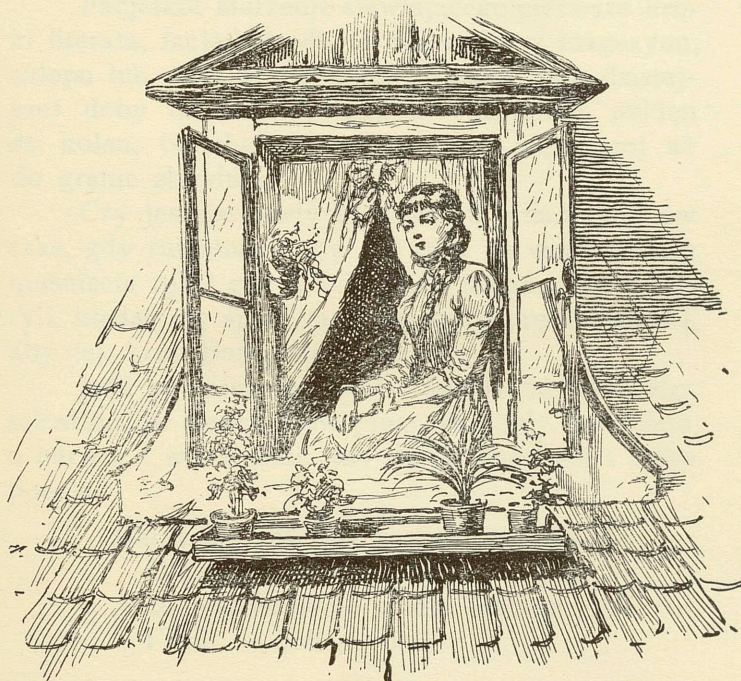
Czasami całus z owych dni,
Upajającej mocy,
Późną jesienią tak nam lśni,
Jak gwiazda w czarnej nocy.

Były też i inne typy facjatek: facjatki, że tak powiem, męskie. Zamieszkiwała je młodzież, żyjąca fantastycznie: pół dnia pracy, pół dnia zabawy; o śnie myślało się niewiele.

Po kątach porozrzucane książki, na kulawym stoliku rękopisy, w oknie kamasz podarty zamiast kwiatka, albo trupia czaszka z nasuniętą nabakier czapką akademicką.

Fanfaronowali ci młodzi, drwili nibyto ze wszystkiego, ale pociśnij im serce: domacasz się odrazu i uczuć szlachetnych, i myśli głębokiej, i porywów wzniosłych do czynu, do górnego życia.

Gdzieś na piątku, hen, pod strychem,
Nad książką student ślęczy,
Ale mu przyszłość gra przepychem,
Błyska barwami tęczy.



Bywało z głodu piszczy brzuch,
W kieszeni same dziury;
Lecz pcha się w życie chłopiec zuch,
Nie patrzy w dół — w lazury!

Facjatko! Marzenie stawiającego pierwsze kroki literata, facjatko! edenie dziewcząt z magazynu, sklepu lub szwalni, facjatko! utracony raju dzisiejszej doby dancingów, tangów i shimmy, sukien do kolan, biusthalterów i rozpusty, sięgającej aż do granic zbrodni.

Czy jeszcze kiedy powrotną falą nadpłynie ów czas, gdy rumieniono się jak róża na wspomnienie muśnięcia ręki? gdy młodzieniec, jak za czasów Maryli, kładąc się spać, zasłaniał miniaturową ukochanej, aby jej, broń Boże, nie obrazić?

Jeśli powrócą, powróci i dawna facjatka, aby zakwitnąć w poezji niewiędącym nigdy kwieciem o barwie i woni, jakie ma tylko młodość i tylko poezja.

Marzy się coś tam szarym zmrokiem
O jakiejś dawnej doli.
A tu wspomnienie siadło bokiem
I boli — boli — boli.

Nie wiem, kto winien? dola winna?
Czy los to był złą swatką?
Jakżeś ty była lepsza, inna,
Facjatko! ach, facjatko!

STRYCH.

Jedno z najmielszych wspomnień mych,
Obraz z dzieciństwa wywołany:
Zasnuty pajęczyną strych,
Dziwny, jak jakiś kraj nieznany.

Nisko z karpiówek spływa dach,
Płomienny latem, mroźny w zimie.
I był tam dla mnie czarów gmach,
A tajemnica jego imię.

Wielkie, długie, niskie podstrysze, którego dalekie kąty nawet w najjaskrawsze od gorejącego słońca dni lipcowe ginęły w mrocznych cieniach. W wiosenne i letnie południa w smugach kurzu, złociejących od promieni słonecznych, uwijały się i wirowały maleńkie, ruchliwe muszki; zimą wpadały przez otwory dachu, jak drobnutkie, srebrne gwiazdeczki, płatki śniegu i igielki szronu; lecz najprzyjemniej było na strychu w poranki wczesnej jesieni.

Cisza panowała tam wówczas bezgraniczna; niekiedy tylko dreptały lekko, lekko po dachu sprę-

żyście nóżki beztroskliwych wróbli; czasami z cichym szelestem wysuwała się z norki mysz i, spojrzawszy czarnymi paciorkami niespokojnych oczu, zmykała błyskawicznym ruchem, by po chwili wyjrzeć znów ciekawie — i znów zniknąć.

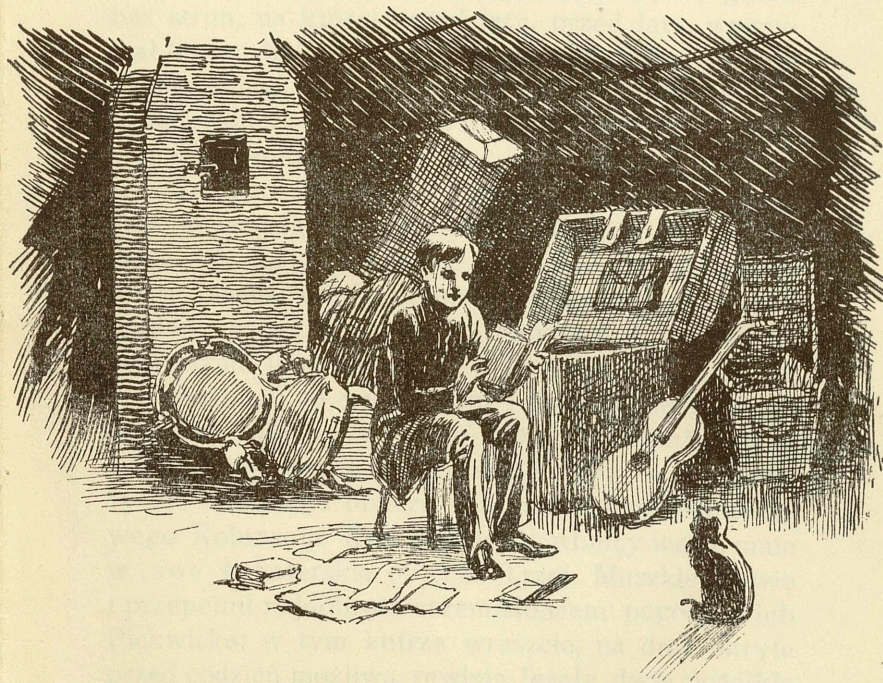
Wtedy odbywały się na melancholijnie drze-
miącym podstryszu moje dziecięce misterja.

Strych pełny był skrzyń, koszów, pak i naj-
przeróżniejszych starych, zniszczonych, niezdatnych
do użycia sprzętów; ale dla mnie były to skarby
bez ceny, skarby tem pożądańsze, że niespodzie-
wane i przy każdej nowej eksploracji ukazujące co-
raz to inne, coraz bardziej oszałamiające wyobraźnię
bogactwa.

Duży, na kołach, siwy koń,
Który sprężyną sam się rusza:
Chciałbym go dosiąść, biegnę doń, —
Ale umarła jego dusza!

Z śrubek, po których został ślad,
Próżno wciąż inną się przekręca —
I nie zanieś mnie już w świat,
Gdzie się wyrywa myśl dziecięca.

W koszu bez wierzchniego pokrycia, zapcha-
nym od dołu do góry: zbiorowisko cudów i dziwów.
Dwie czarne reductowe maski, które przypominają
oczytanemu malcowi jakąś tragiczną historję o pięk-
nej damie i o zbirach weneckich; obrazki ptaków,



ułożone z kolorowych piór, zepsute i postrzępione, ale nęcące jeszcze jaskrawymi barwami wrażliwe oczy; ozdobiona wyblakłą błękitną "wstażką" gitara bez strun, na której przed laty, przed laty, wygrywał leżący dziś na cmentarzu dziadek jakieś uroczyste piosneczki, o których z uśmiechem pełnym łez opowiada wnuczkowi srebrzystowłosa babunia o różowej cerze młodej panienki.

Lecz prawdziwym sezamem, przybytkiem szczęścia, świątynią najcudniejszych zachwytów, otwierającą się na każde moje skinienie, był ogromny, okuty blachą kufer, zawierający stosy grubym pokładem pyłu zasypanych, dawnych i nowszych, przeważnie ilustrowanych — książek.

Stamtąd to wydobyłem i przeczytałem po raz pierwszy wielkie wydanie „Don Kichota“, który śnił mi się przez wiele, wiele nocy — tragiczny rycerz smutnego oblicza; tam znalazłem dwutomowego Robinsona Kruzo; z tej skarbnicy wzięli mnie w swe bohaterskie objęcia Trzej Muszkieterowie i przepełnił najdobrotliwszym słońcem pogody Klub Pickwicka; w tym kufrze wreszcie, na dnie ukryte przed codziennością rewizją, leżały dwie pośółkłe książki — dwa źródła rumieńców zapału i łez bezsilnego żalu: Kordjan i Pan Tadeusz.

A kiedym wiersze chłonał wlot,
Od strychu wzbity i od ziemi,
Naprzeciw siadał czarny kot,
Kot ze ślepiami zielonemi.

I patrzył na mnie dziwnie tak,
Kręcąc ogonem z cichym szmerem, —
A mnie się zdało, że to mag,
Co mnie uczyni bohaterem.

Raz zdarzyła się rzecz nadzwyczajna: służąca Nastusia, unitka, znalazła w jakiejś szparze na strychu zeszyt wierszy. Był to rękopis pieśni patryjotycznych, powstańczych, z 1831 i z 1863 roku.

Zeszyt ten, nawpół zbutwiały, poplamiony wilgocią, jakby potokami łez, dostał się naprzód w moje prawie już młodzińcze ręce.

Jakżem go odczytywał ze drżeniem serca, jakżem go chował co wieczór pod poduszkę, aby równo ze świtem, przed pójściem do gimnazjum, przerzucać go po raz setny, jeszcze i jeszcze i jeszcze!...

A gdy szesnaście miałem lat,
Kochając pierwszy raz pocichu,
Pasemko włosów, list i kwiat
Schowałem w jakiś kąt na strychu.

W złej chwili pukiel, list i kwiat
Zmieszałem — dzieciak — ze śmieciami, —
Bo tak się stało w biegu lat
Z wszystkimi serca pamiątkami.

PIWNICA FUKIEROWSKA.

Trzeba sięgnąć do szkatuły
I wybadać, Janie Kanty,
Fukierowski sek, riwuły,
Małmazyje, alikanty.

Tokaj — niczem ulep słodki;
Po maślaczu wigor wzbiera.
Tedy wnijdźmy na te schodki,
Co prowadzą do Fukiera.

Wyobraźmy sobie rynek warszawskiego Starego Miasta w siedemnastym wieku naprzykład. Pośrodku rynku wspaniały ratusz z wyniosłą wieżycą, na której dumnie sterczy wyimaginowana z blachy i kolorami ozdobiona syrena. Po bokach ratusza bogate kramnice Szkotów, Ormian, Niemców i innych wszelakich nacyj, a od lśniących, srebrem i złotem przetykanych wschodnich materyj, od broni perskiej, tureckiej, włoskiej i hiszpańskiej, od sukien i płócien flamskich aż się w oczach mie-

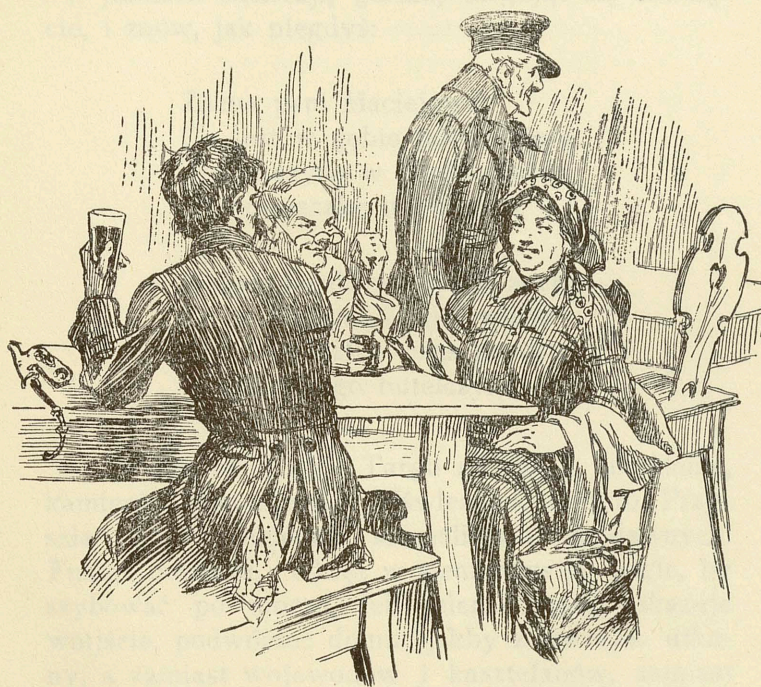
ni. Z komnat ratuszowych wychodzą w zadumaniu szlachetni rajcy, dostojni ławnicy, poważni mistrze cechowi, raz wraz odrywa się ktoś z gromady kupców czy honoracjorów miejskich, by w pojedynkę, albo częściej samotrzeć lub samoczwart, wkroczyć do słynnej na całą Warszawę, ba! na Rzeczpospolitą całą, fukierowskiej winiarni.

Rzędy beczek i antałów
Stoją w loszku długie lata,
Do zamorskich tych specjałów
Wnet ci serce zakołata.

Czy masz w żyłach krew szlachecką,
Czyliś miejska gwiazda szczera,
Zawždy modą staroświecką
Ciagniesz waści do Fukiera.

A gdy się już zebrała i zasiadła przy stolicach na zydlach gdańskiej roboty, na ławach skórą kordubańską krytych, najprzedniejsza brać stolicy; gdy gęsto kielichy krążą, a z dzbanów farfurowych i miedzianych leje się ciurkiem płyn szacowny; — toż dyskurs trefny, toż de publicis rozmowa, toż spłókiwanie frasunków i trosk codziennych, a skuteczne, bo trunek fukierowski lepszy lek i balsam, niżeli mumja w proszku, ząb nosorożca, a nawet mandragory korzeń, rzecz najrzadsza in u'niverso.

Minęły lata. Zniknął z powierzchni rynku ratusz staromiejski, kontuszów i żupanów, ferezyj i koł-



paków nie widać, ale piwnica fukierowska trwa niepożycie. Na rynku targowisko hałaśliwe, barwne, przekupki i przekupnie aż chrypną od kłótni i wrzasku, mieszczenie w kapotach, mieszczeni w salopkach i w jubkach zdzierają gardła, targując się zawzięcie, i znów, jak niegdyś:

Zacna pani Maciejowa,
Co jest w gębie jak megiera,
Złotówczyne w garści chowa
Na lampeczkę u Fukiera.

A pan Jacek, zuch nad zuchy,
Co w Hiszpanji pijał wino,¹
Nie pogardzi w czas posuchy
Węgierskiego butelczyną.

A lata idą i idą. Targu na rynku już niema, kamienice staromiejskie odświeżono, odmyto. Przyszła epoka odmienna, szczęśliwsza od dawnych. Fukier pozostał. Okręt w sieni rozwija żagle, by szybować po morzu, łeb jeleni rogaty wskazuje wnijście, podwórzec domu jakby z koronek utkany, a zamiast wojewodów i kasztelanów, zamiast prokonsulów i rajców, artyści nawiedzają Fukiera, rymopisy, skulptory, ludzie księgi i pióra.

Tak, jak niegdyś przed wiekami,
Co go dały w upominku,

Jest dziś Fukier między nami
Na warszawskim starym rynku.

Zawsze pełną winą czarę
Ma na smętków radowanie.
Póki stoi Miasto Stare —
Fukier w mieście pozostanie.

CUKIERENKA.

Cukierenko! ach, jak mi cię żal,
Moja dawna, mała cukierenko!
Coraz bardziej odsuwasz się w dal
I dziś jesteś już tylko — piosenką.

Jakże dziwnie odmienia się świat!
Jak film, który ktoś złośliwy kręci...
I zaginął już po tobie ślad,
Ale jednak — nie w mojej pamięci.

Na Świętojańskiej, idąc ku Staremu Miastu,
po prawej stronie ulicy, w narożnym domu od
Zamkowego placu, mieściła się przez lat wiele naj-
typowsza i najciekawsza z takich małych warszaw-
skich cukierenek.

Mroczo w niej było zawsze, poważnie — i przy-
tulnie; niezmiernie rzadko dźwięknęła tu srebrzysta
gama kobiecego śmiechu, jeszcze rzadziej furknął
koncept dwuznaczny lub rozległa się kłótnia sie-
dzących przy stolikach gości; rozmawiało się szep-
tem, „stalowało“ kawę czy herbatę półgłosem, i ci-

sza, rzekłbyś uroczysta, panowała pod łukowem sklepieniem staroświeckiej cukierenki.

Klientela tego lokalu także była zupełnie inna, aniżeli w cukierniach śródmieścia: zbierali się tu przeważnie garbarze i białoskórnicy, których sklepami słynęła oddawna ulica Świętojańska; bywali też obywatele staromiejscy, którym cukiernia Kadecza, na roku Podwala, wydawała się zbyt elegancką i zbyt nowomodną; przychodzili niekiedy, wnosząc z sobą niezwykły tu gwar i zamęt, malarze i literaci dla zbierania wzorków; — ale najgłówniejszą pozycję w rachunkach właściciela cukierenki zajmowali — zakochani, ci szczególnie, którzy z tych czy innych powodów ukrywać się musieli. Siedzieli oni w najciemniejszych kątach lokalu, zachowywali się tak, jakby ich nie było, kazali sobie podawać, co im obsługa (niebrydka dziewczyna i obdarty chłopak) zaproponowała, zostawiali wszystko prawie nietknięte i bardzo nie lubili momentu zapalania gazu, bo wtedy nie wypadało już trzymać się za ręce.

Można przecież nie powiedzieć nic,
Mówiąc wszystko tęsknemi oczyma,
Z ruchu drogiej rączki, z drgnięcia lic
Jest rozmowa, jakiej w słowach niema.
Czar anielskich marzeń, pieśń bez słów,
Szczęście, które w niebie się odkryło.
I krew dałbyś, by to wrócić znów, —
Gdybyś wierzył, że to prawdą było.

Baczny spostrzegacz, obserwujący owe pary (rzecz prosta, zawsze tylko pary, bo zakochani nie znoszą towarzystwa, tak przynajmniej wedle ceremonjału miłości mówić wypada), łatwo mógł sobie wyrobić opinię o przeszłości — i przyszłości tych osób.

Wiedział on na pewno, że ta oto ładna dziewczyna, zaróżowiona po same uszki, nie mówiąca, nawet szeptem, nic prawie, odwracająca się od saliki ku ścianie i spoglądająca nieustannie ku drzwiom, jakby już już wyfrunąć pragnęła, jest na schadzce po raz pierwszy. Jeszcze się lęka, jeszcze nie wie, co zrobić z oczyma, z twarzą, ze sobą całą... drży...

Nic nie szkodzi: przyzwyczai się; w tem sprawa jej towarzysza, młodego lowelasa, obznajmionego ze sposobami tresowania niewiniątek, błyskającego czarnemi, jak najczarniejsza kawa, oczami i triumfalnie podkręcającego wąsika.

Wiedział on też, że owa pani, w przesuniętych o dziesięć lat co najmniej Balzakowskim wieku, siedząca w drugim rogu cukierenki z młodszym od siebie o kilkanaście wiosen kochankiem czy materjałem na kochanka, ma wprawę i tupet, którychby jej mógł pozazdrościć najwytrawniejszy donżuan. To ona uwodzi. Jej sąsiad poddaje się tylko biernie urokowi rozkwitłych wdzięków, a jeszcze bardziej impetowi, z jakim go ściągają w objęcia, nie tyle kochające, ile wymagające.

Czasami przez cukierenkę przewionie czarodziejskie zjawisko: wykwinna światowa dama, szczególnie zasłonięta gęstą woalką, szeleszcząca je-

dwabiem, połyskliwa od przepysznych brylantów; usiądzie na moment ze swym wielbicielem, wyglądającym na poetę, umoczy usta w czekoladzie, skrzywi się, uśmiechnie, szepnie słów parę — i zniknie. Może to pierwsza i ostatnia schadzka, może początek? może koniec? któż zgadnie?

Były podobne cukierenki na rogu Freta i Świętojerskiej, na Grzybowskiej, na rogu Wareckiego placu; ach, ileż ich było, a dziś już niema, tak jak niema uczuć, zdławionych przez życie i rzuconych, jak liście jesienne — w błoto.

Snujesz baśni najcudniejszej sen,
Oszalały przez lata — przez lata,
Aż się ockniesz z poetyckich scen —
I ku ziemi spada myśl skrzydlata.

A gdy przyjdzie poematu kres,
To masz książkę jak nożem rozdartą.
Można z tego uśmieć się — do łez,
Ale lepiej — wspominać nie warto!...

PIERWSZE FIOŁKI.

W pierwszej wiosny chwile sielskie,
Pod przepaścią nieb błękitną,
Śląc zapachy marzycielskie,
Skromne fiołki w trawie kwitną.

Gdy w nie patrzę, szczęściem płonę,
Fala życia wstecz się toczy, —
Ach, i widzę zapatrzone
Fiołkowe czyjeś oczy...

Ledwo słońce kwietniowe przygrzało, zaroiły się publicznością, przeważnie młodszą, parki i ogrody miejskie i podmiejskie. W Łazienkach, w Mokotowie, w Królikarni, w Morysingu i w Gucinie snują się pary, najczęściej tylko pary właśnie, i szukają skwapliwie w miękkim, puszystym kobiercu wiosennej zieleni pierwszych, najmiej pachnących fiołków.

Tak nieśmiało, tak lęklivo wychylają urocze kwiatki swe woniejące główki, a jakże im błogo, gdy drżąca ze wzruszenia dłoń chłopca przypina

je do stanika zaróżowionej, jak jutrenka, pa-
nienki.

Szczęśliwi są, i chłopiec, i dziewczyna, i kwiaty,
choć te ostatnie uwiędną niebawem i rozkruszą się
w pył bezwonny, tak jak powiędną i rozwieją się
kiedyś najpiękniejsze, wiecznotrwałe, zda się, sny
młodociane.

Jakiż wieje czar z tej woni
Dla młodzieńca, dla dziewczyny!
W sercach, w duszach, w myślach dzwoni:
„To są nasze zaręczyny“.

Ten kwiatuszek, taki miły,
Szczęściem z naszych serc wystrzeli, —
Ach, i niema takiej siły,
Która w życiu nas rozdzieli.

Chyba się jednak to jedno nie zmieniło od-
dawna, że, jak niegdyś, tak i dziś zakochani błądzą
ręka w rękę po ustronnych i tajemniczych zakąt-
kach ogrodów i, korzystając z ich zacisza, szepcą
te tkliwe słówka, które 'zawsze są niedomówione
i zawsze ich mało, i zawsze niedosyć wyraziście
i niedosyć mocno malują to, co się czuje, co się
wypowiedzieć pragnie.

A potem, po pierwszych fiołkach, zakwitną
inne kwiaty: płomienne róże, z ostrym zapachem
goździki, przepyszne w barwach tulipany; ale to
już nie będą te słodkie wzruszenia, które nawskroś



przenikają całą istotę, gdy się szukało i znalazło
we dwoje ów czarodziejski talizman wiosny.

Raz się tylko w życiu wierzy,
Raz się tylko kocha w życiu...
Pierwszy powiew wiosny świeżej
Odgadujesz w serca biciu.

Jeszcze nie wiesz, co to znaczy,
Jeszcze nazwać go nie umiesz;
Lecz, gdy los go przeinaczy,
To dopiero go zrozumiesz.

Były takie miejsca, jakgdyby uświęcone tradycją, w Łazienkach królewskich zwłaszcza i w ogrodzie Botanicznym, w których fiołki kwitnęły najbujniej. Wiedzieli o nich uczniaki i pensjonarki, wiedziały szwaczki, wiedzieli młodzi artyści i prawie każdego pogodnego ranka zjawiali się na polów kwiatów — i pocałunków.

W starej, żółkłej wierszy książce,
Gdzie młodości świat zamknięty,
Przy błękitnej zblakłej wstążce
Leży drobny kwiat uschnięty.

Mały fiołku! Jakże wielki
Daleś niegdyś szczęścia wątek!...
I upadły łez kropelki
Na ostatni szczyt pamiątek.

WIOSNA W ZAULKU.

Czy to złuda, czy to czary
Snem poezji życie wieńczą?
Świat niedawno taki szary
Buchnął wonią, błysnął tęczą.

Zda się, dźwięczy pieśń radosna
I polata jak jaskółka...
A to tylko przyszła wiosna —
I stworzyła cud z zaułka.

Pierwsze promienie wiosennego słońca strze-
liły w zaułek staromiejski. Wąska uliczka, brudna
i ciemna, zmęczona czterech wieków ciężarem, upa-
ja się pieszczotliwym muśnięciem dziewczyczych po-
wiewów z za morz, z za gór. Fasady ruder nabra-
ły barw i blasków, nędzne podwórka wyzłociły się
jaskrawie, w kałuży wiosennego deszczu migotliwie
odbija się—niebo. Na piętérku ktoś odchylił okien-
ko. Po dawnemu kwitną w niem fuksje i laki.
Biała twarzyczka, która wygląda z okienka, pod-
nosi oczy nad dachy koślawe, patyną pleśni pokry-
te, i patrzy w błękit lazurem uśmiechniętych źrenic.

Niegdyś stamtąd w taki ranek,
Chcąc uwiecznić jego opis,
Słał wejrzenie muz kochanek,
Melancholik i rymopis.

Duch się zrywa orlim lotem,
Nad Warszawą ptakiem goni...
Jakże pięknie śpiewał o tem
Gomulicki w „Na Kanonji“.

Gomulicki i Kostrzewski umieli najcharakterystyczniej odtwarzać ten odrębny, zamknięty w sobie świat. Obywatel starej [daty, idący o świat w kapocie i rogatywce, z ogromną księgą pod pachą, na nabożeństwo do Fary, — szwaczka, biegnąca z piosenką na ustach do pracy całodziennej, marząc o wieczornej schadzce, — szewc kuternoga, co to „do pułapu wyciąga dratwę, a głos do Boga“, — łobuzy staromiejskie, przekupki pyskate — wszyscy oni ożyli w ten wiosenny poranek i zaludniają znowu podwórza i ulice, sutereny i facjatki.

Przy straganie z nowaljami
Wre zacięta jakaś sprzeczka,
Strzela słowa, jak racami,
Filuterna mężateczka.

Wreszcie targu już dobiły,
I paniusia mknie radosna:
Niech się dowie mężuś miły,
Że to wiosna, że to wiosna!

Z mrocznej sieni wybiegły roześmiane, hałaśliwe dzieciaki. Wrzawą niepowściągliwą wypełniły uliczkę; tryska z nich radość życia, zamkniętego tak długo w wilgotnych murach, przytłoczonej zimą, ponurych, jak cela więzienna. Pod ścianą stoi wpółślepy dziad; bielmem zaszłe oczy podniósł do słońca i grzeje się i cieszy, że ma ciepło, że żyje — i że szynceł jest tuż naprzeciwko.

A górą i dołem, nad dachami kamienic odwiecznych, wśród odrapanych murów, po podwórkach zapuszczonych, maleńkich, leci coś, śpiewa, krzyczy, bije w okienka, uderza w serca ludzi, oszałamia głowy:

Świat jest cudny, czarodziejski.
Kędy spojrzeć: pieśń i kwiecie!
O, zaułku staromiejski,
I tyś piękny w pięknym świecie.

Zły się smutek w grób położył,
Pierzchła troska bezlitosna. —
Któż to zrobił? któż to stworzył?
Wiosna! Wiosna! Wiosna! Wiosna!

DESZCZ.

Lunał ciepły deszcz ulewny,
Ziemi całowanie;
Jest w tem jakiś podzwiek śpiewny,
Sfer niebieskich granie.

Jak kobieta, bierze ziemia
Pocałunek deszczu, —
I rozkoszą się oniemia
W upojenia dreszczu.

Jak na zakłęcie, opustoszały w mgnieniu oka
ulice warszawskie. Zapełniły się bramy, zaludniły
cukiernie i sklepy; pod daszkami, pod filarami, w za-
kamarkach osłoniętych od deszczu, stoją gromadki,
rozbawione lub złe, gadatliwe, albo milczące po-
nuro. Ulewa.

Poszarzało na świecie. Deszcz siecze prosto-
padłemi, wyciągniętymi, jak druty, strumieniami
wody; chwilami to już nie pojedyncze pasma, le-
cące jakby z olbrzymiego przetaka, lecz jednolita,
ogromna masa płynu, walącego się z siłą, jakgdy-

by jakaś rzeka niebieska wytłoczyła dno i lunęła z impetem, niepowstrzymana i rozhukana, jak rozkielznany żywioł.

Rynsztoki wystąpiły z brzegów i połączyły się z falą płynącą po jezdni; z rynien głucho dudni spadająca na asfalt woda; nawpół ośleple konie dorózkarskie ciągną zamknięte budy, leniwie chlapiąc kopytami, a tu i ówdzie, w dalekościach ulic, biegnącwałem zapóźnione postaci tych, co nie zdążyli schować się lub miejsca na ukrycie nie znaleźli.

Ot, przeleciała smukła i zgrabna panienka, której od spotkania się z ukochanym nic powstrzymać nie zdoła; uniosła i tak już krótkiej sukienki i pozwala podziwiać zgrabne, sprężyste nóżki, którymi przebiera, jak sarenka. Ot, jejmość leciwa, zasobna w ciało, jako ów Marchołat gruby a sprośny, zawinęła jak fartuch spódnicę na głowę i czerwienieje flanelową halką i czerwieńszem od halki obliczem; ot, śliczna aktorka, biegnąca na próbę, na którą spóźnić się nie można, nie dba o trzewiczki lakierowane, ani o kostjum prosto od krawcowej, lecz troska się jedynie o podmalowaną buzię, aby jej nie dotknęły strumienie deszczu i nie zmyły pudru i różu.

Pod osłoną parasola

Pan o świecie nie wie,

Ni mu w głowie ruszyć z pola:

On jest jak na rewji.

Nad cylindrem deszcz szeleści,

U nóg z wody zator, —

To wielbiciel płci niewieściej

I nóżek amator.

Używają łobuzy. Zawinawszy porteczki, kąpią się w rynsztokach za kolana, przebiegają przez ulicę z jednej strony na drugą, bałwaniąc wodę, jak wieloryby, ofiarowując swoje usługi ładnym dziewczynom, proponując im zanieśenie do domu „na barana“, wreszcie, jak pudle, otrząsając się nibyto z wody, obryzgują najelegantszych młodzieńców i najbardziej wyjedwabione damy.

A tymczasem deszcz słabnie, niebo się przeciera, w szarość Warszawy uderza złota strzała słońca — i nagle:

Z każdej kropli po ulewie

Promienieje tęcza,

Kwiat po kwiecie, krzew po krzewie,

Wiosną się rozwdzięcza.

Pachną klomby, lśnią się mury,

Błyskają oczęta —

I o figlach dżdżystej chmury

Nikt już nie pamięta.

Jednak długo jeszcze po ulewie co piękniejsze i pewniejsze siebie osóbkę, w obawie płynącej po chodnikach wody kokieterjnie unoszą spódniczek, sprawiając rzetelną radość oczom męskim, nigdy niesytym, zawsze zaborczym i tak ciekawym po-

nęt kobiecych, jak ciekawe są one — wystawy jubilera, szewca damskiego i składnika materiałów bławatnych.

Miasto, zdobne słońca czarem,
Strząsa deszczu rosę,
Patrzy z okna w Mieście Starem
Dziewczę złotowłose.

Coś się szarpie w duszy młodej,
Coś w niej gra i śpiewa, —
Słońca uczuć i swobody
Sercu się zachciewa...

KWITNĄCE BZY.

Zakwitły bzy, zakwitły bzy,
Zapachem upajają;
Powinny wrócić dawne sny,
A jednak nie wracają.

Powinny wrócić dawne sny,
Jak w młodych wiosen dobie.
Zakwitły bzy, wiosenne bzy, —
Lecz kwitną jak na grobie.

W parkach i na skwerach miejskich, w zacisznych ogródkach dalekich kątów stolicy, na placikach pod staremi domami, patrzącemi zmętniałemi oczyma szyb na szarżółtą Wisłę, zakwitły kuliste, dyszące wonią pęki liljowych, różanych i białych bzów.

Z każdą wiosną tak kwitną i z każdą wiosną niosą młodym sercom najczarowniejszy sen miłości i szczęścia, a tym, którzy prześnili już bajkę życia, dają melancholji pełną, lecz dziwnie uroczą jeszcze legendę wspomnień. A niekiedy wspomnie-

nia te, odległe echo przeżytych szalów, bezgranicznych uniesień, rozmodlonych ekstatycznie uczuć, w rzewności swej i smutku piękniejsze są może jeszcze od chwil rzeczywistych, bo nie kipi już w nich burzliwa krew, tylko skrzydła anielskie rozwija roztęskniona i czysta, jak myśl dziecka, dusza.

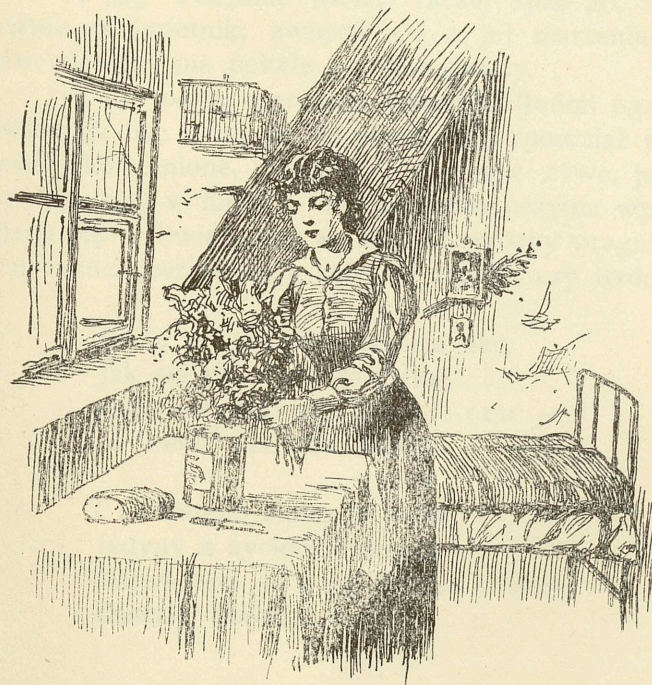
I czy może być kto z ludzkim sercem i z godnością ludzką, kto powie wspomnieniom: precz!

Odgonisz wszystko! wszystko w pył
Splamione życiem runie!
Lecz zabić wspomnień nie masz sił!
Wróć w pożarnej łunie.

I siądą obok w szary zmrok
I będą szeptać: „szkoda!...“
I będą z tobą szły krok w krok,
Jak śmierć, jak miłość młoda...

Z bogatych sklepów ogrodniczych, na targach miejskich, ze straganów kwiaciarek, na rogach ulic, z rąk zabrudzonych sprzedawczyń uśmiechają się do ciebie wilgotne, jak ukochane usta, marzące, jak ukochane oczy, świeże, pachnące kiście czarownego kwiatu, który sam w sobie jest wiosną z jej urokiem, z jej ponętą, z jej przelotnem, jak mgnienie, trwaniem.

Uboga robotnica za grosz ostatni kupuje 'pęk bzu i niesie go do swej zatechłej sutereny. Biedna szwaczka wraca z roboty na podstrysze z bukie-



tem bzu w poklutej ręce i stawia go przy łóżku
i pielęgnuje, i patrzy się weń 'radosnemi oczyma,
bo to jej ogród, jej pola i łąki, jej otwarte okno
na rozkosz życia, jej wiosna.

A gdy zwiędnie kwiat, raczej spali go, niż
ciśnie na śmietnik; związał się z jej marzeniami
dziewiczemi, nie pokala go, jest święty.

A oto patrz: staruszka drżącemi dłońmi ogar-
nęła pęk bzu i tuli go do piersi. Przypomniał jej
wszystko minione, wszystko, co, choć żywe, jest
już dla niej w mogile. Rozpacznemi oczyma wpa-
truje się w kwiat, obrywa listki i wróżby pragnie:
czy wróci jeszcze co z tego, co zgasło, czy wróci?

Jakże się trwoni szczęścia dar,
Jak się na wiatr go ciska!
Ach, jaki żal, gdy pryśnie czar —
A śmierć już taka bliska.

I na mogile cudnych snów —
Jedyny z życiem związek —
Największe — i najsuchsze z słów
Zostaje: obowiązek.

ZAPALAJĄ LATARNIE.

Zapalają latarnie...

Mrze dzień,

Blednie zachód czerwony i złoty,
Niewidzialnie pełźnie w miasto cień
Z przedwieczornej nokturnem tęsknoty.

Cichnie gwarna ulica, czar snów
Tęczę marzeń wyskrzydła motylą...
Czegoś brak ci... czy uczuć, czy słów...
Zapalają latarnie...

Stój, chwilo!..

Huczne miasto zamarło na moment. W naj-
ruchliwszych nawet punktach stolicy jakby siła ja-
kaś, tajemnicza a niezmierzona, położyła władczą
dłoń na pulsie życia: kazała — i puls słabnie, gaśnie,
ucicha...

Krótko to trwać będzie: tyle, ile przelot ptaka
w błękicie, ile zamierające echo dzwonu na „Anioł
Pański“, ile melancholijna zaduma, która przysła
niewiadomo skąd — i niewiadomo gdzie odleci.

Przeminie szybko ta chwila odpoczynku wielkiego miasta, a gdy zapłoną już wszystkie latarnie i wystawy sklepowe fontanną światel rozbłyszna, rozpocznie bić ze zdwojoną mocą tętno Warszawy i uderzać prędko, gorączkowo, nierówno przez wieczór, przez noc, do przedświt.

Tymczasem jednak na kamienie, na marmury, na ludzi spływa urok czegoś, czego się przez dzień cały w chaosie, w zgiełku, w opętaniu życia nie spotyka: urok poezji.

Zapalają latarnie...

W długich ulicach, w ukrytych zaułkach, w ogrodach i parkach miejskich wiąże się w cudowną symfonię nieuchwytnych, niknących barw gra światel i cieni. Już słońce zgasło, już tylko odbłaski różowe malują obłoki na skłonie nieba: nie mrok to jeszcze, to jakaś srebrzysto-seledynowa, coraz bardziej roztapiająca się półjasność, w której sercom ludzkim ukojnie jest, bezpiecznie — i smutno.

W taką półjasność, zda się, odlatują duchy. A na ziemi właśnie w ulicach, w zaułkach, w parkach i ogrodach snują się cicho i jakby nie tykając bruku postaci, w tej fantastycznej porze dnia duchom podobne.

Zbliżają się do latarni, drążkiem, na którego wierzchu płomyk wyblyska, dotykają ich — i oto staje się jasność, rozświetlająca coraz gęściejszą i grubszą oponę mroku.

Zapalają latarnie...

Nieznajomy. Niewiadomo skąd
Jak duch idzie i jak duch odchodzi,
Chwilkę miga jego złoty lont,
A gdzie stąpnie, tam się światłość rodzi.

Jakaś dziwną niesie z sobą moc,
Zawsze obcy i zawsze daleki, —
A sam wsiąka w najczarniejszą noc —
I tak, jakby odpływał na wieki.

A miasto marzy. Gdzieś na przedmieściach, przed bramami ordynarnych, koszarowych domów, przystanęli w milczeniu robotnicy i robotnice, służące i stróże. Kobiety, suche i zwiędłe przedwcześnie, dziewczęta z uróżowanymi ustami i podczernionymi oczyma, starcy zgarbieni i bezsilni poddają się czarowi tego duszę uskrzydłającego mgnienia i patrzą w przestrzeń, cisi i zdostojniali, zapomniawszy klątw i krzywd i nieszczęścia.

Woddali gra katarynka.

A w śródmieściu, na ulicach, gdzie płacze się i zwija i kłębi mrowisko ludzkie, moment ów zahamował pęd rozhukanego życia. Oderwała się od tłumu jedna, druga postać, stanęła pod murem, zapomnieć chce o wszystkim, co ją otacza, zapomnieć o sobie samej. I w duszę umęczoną, zabita, skalana — puka Bóg.

Zapalają latarnie...

W takiej chwili, gdybyś tylko mógł,
Tobyś piersi naościęz otworzył,

Zebrał ciernie z wszystkich ludzkich dróg
I na sercu je własnem położył.

I przebaczył ludziom wszystko zło,
Którem — może wbrew sobie — żyć muszą
I nie klątwą świat żegnał, lecz łzą...
Zapalają latarnie...

Śnij, duszo!...

PANNA Z MAGAZYNU.

Oczy płomienne albo marzące,
W jakimś skupieniu niemem.
Najmilsze z pragnień: serce płonące,
Kwiaty i ciastka z kremem.

Figlarne loczki nad zgrabnem czołkiem,
Przy piersiach więź jaśminu.
Czyś ty djabełkiem, czyś ty aniołkiem,
Panienko z magazynu?

Skoro świt, zrywa się z posłania i pierwsza
dzienna sprawa — spojrzenie w lustro.

Gdzieś tam na krańcach miasta, gdzie wlecze
szare życie najuboższa ludność stolicy, w biednej
stancyjce, pomiędzy matką, mrującą i niezadowo-
loną od rana, i ojcem, tępym wzrokiem patrzącym
w nowy dzień roboczy, zwija się, jak wiewiórka,
podśpiewuje, jak ptaszek, karbuje włosy, łyka zimną
herbatę, przypudrowuje nosek, chrupie wczorajszą
bułkę — i uśmiechnięta, różowa, ubrana skromnie,
lecz zawsze z gustem i szykiem, wyfruwa na ulicę.

Nie idzie — biegnie, nie biegnie — leci, przeskakuje rynsztoki, omija zręcznie kałuże błota, jak chybkę wężyk prześlizguje się wśród przechodniów, niby na nic nie zwraca uwagi, a widzi wszystko; śpieszy się — śpieszy — śpieszy, co nie przeszkadza jej zaglądać do wystaw sklepowych, przystanąć na chwilkę przed lustrzaną witryną perfumerji lub sypnąć oko do przechodzącego młodzika.

Nareszcie jest na miejscu. Wpada jak kula do pracowni, wita się z koleżankami, jedne całuje, innym tylko podaje rękę, i wlot dowiaduje się o wszystkim, co stało się od wczoraj.

— Wiesz? Zośka była w teatrze!

— Mańkę zaczepił ten chudy, wysoki, co chodzi za nią od tygodnia.

— Pola nie przyjdzie: ma ospę wietrzną.

— Frani oświadczył się — trumniarz!

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!

Śmiech milknie; weszła właścicielka magazynu: modniarki zabierają się do pracy.

Panny „starsze“ z powagą rozdają robotę pannom „młodszym“; każda ma swoje zajęcie: dziurkarki, staniczarki, spódniczarki i rękawiarki z precyzją odrabiają swe codzienne sprawy; dziewczęta „na posyłki“ zaczynają latać jak szalone.

— Figa! przynieś mi szpilek!

— Mima! poleć po nici!

— Linka! kup-no mi w sklepiku landrynek za dziesiątkę!

Dzwonek. Skrzypnęły drzwi: klientka. Nastrój staje się uroczysty; wielka chwila: przymiarka.

Niema chyba na świecie kobiety, dla której przymierzanie sukni nie jest aktem nadzwyczajnej wagi, czemś nieomal mistycznym, wkraczającym w dziedzinę, o której nie mają najmniejszego pojęcia nietylko tak pospolici mężczyźni, jak mężowie, ale nawet ci z nich, traktowani — chwilowo zresztą — jako kwintesencja rozumu, taktu i subtelności.

Ale dla panien z magazynu przymiarka to tortura.

— Przypiąć i zapiąć, przedłużyć, skrócić,

Zwęzić, rozszerzyć, zmienić...

Ani się schmurzyć, ani się kłócić...

Pan hrabia ma się żenić.

Na ślub wystawny pana hrabiego

Ma strój być jak z Paryża...

— A to tu poco? a to dlaczego?

I awantura „świża“.

Singerowskie maszyny terkoczą, materje szleszczą i furczą, ręce z igłami migają, na rozmowę niema czasu: odkłada się wszystko do wieczora.

A oto i wieczór. Najpiękniejszy dla modniarek moment dnia; nie dlatego, że to wypoczynek, o, nie! lecz dlatego, że wtedy — na godzinę — panna z magazynu może być — sobą.

Wybiegły. Przedewszystkiem spojrzały na przeciwko, na drugą stronę ulicy. Tam, nibyto spa-

cerując, niby stojąc przygodnie, niby patrząc obojętnie na przechodzących, czuwa, raczej czyha, na postęrunku tłumek już znajomych lub dopiero pragnących się zapoznać panów. Są między nimi młodzi i, oczywiście, tych jest więcej, ale są i podstarzali, podfarbowani i wykrygowani amatorowie erotycznych przygód.

Jaki gwar, jaki śmiech, jaki szczebiot! Jakie komplementy szczere czy kłamane, zwietrzałe i pachnące młodością, jak kwiaty wiosenne! Rumieńce, błyski oczu, uściski pokłutych rącek, westchnienia.

I rozpierzchnęły się jak stado pliszek. Niektóre w towarzystwie, niektóre same, ale i za temi woddali podąża zawsze ktoś, kto prędzej, czy później zbliży się — i sieć zarzuci.

Jedne ocali prawdziwa miłość, inne, chłodniejsze a sprytne, utorują sobie drogę w życiu, a jeszcze inne...

Nie mówmy o tem...

Naoślep biegiesz nad złą otchłania,

Dziewczyno, ach, dziewczyno!

Róże masz w ręku, lecz róże rania,

Śmiejesz się... łzy popłyną...

Gdy nikt ci nie jest pocziwą wróżka,

Samotne dziecko gminu,

Niechże cię strzeże twoje serduszko,

Panienko z magazynu!

POŚLANIEC.

Czasem nosił z liścikiem — na wiosnę
Pierwsze lilje i pierwsze różyczki,
Do najdroższej — wyznania miłosne,
Do redakcji — żądanie zaliczki.

Znawca ludzi i serc badacz świetny,
Jak koń pędził na Warszawy kraniec,
Zawsze bacznym i zawsze — dyskretnym,
Spraw tysiąca powiernik — posłaniec.

Na rogach wszystkich ruchliwszych ulic stało
ich po kilku, a niekiedy po kilkunastu, barwiąc się
już zdaleka jaskrawymi czapkami, jak rozkwitłe
maki, albo jak georginje.

Stali i chciwymi oczami patrzyli na przechodzących, obserwując ich uważnie.

Ledwo tylko który z panów sięgnął do kieszeni marynarki, surduta, palta — już miał obok siebie dwóch-trzech-czterech uniżenie kłaniających się i odpychających się wzajemnie „czerwono-głowych“.

— Jaśnie panie! ja polecę!

— On poleci? Za godzinę będzie o sto kroków! to paralityk!

— Odsypcie się! To mój pan! Ja puńdę!

Ten, który list pochwycił, w jednej chwili zmieniał wyraz twarzy: z pokornego stawał się poufałym i z miną zadomowionego i o wszystkim wiedzącego pośrednika wysłuchiwał informacji, łypał porozumiewawczo oczyma, kładł list solennie do skórzanej torby, obrzucał kolegów tryumfującym spojrzeniem — i znikał.

Dość często trafiali się posłańcy — kulawi. I rzecz dziwna: ci mieli najliczniejszą klientelę. Dlaczego? — nie wiem, ale wydaje mi się, iż, pomijając już współczucie litościwych serc, oni właśnie odznaczali się szczególniejszym dowcipem i sprytem a kalectwo nadrabiali „znajomością życia“.

Były to — proszę państwa — czasy, kiedy nikomu nie śniło się jeszcze o telefonach; stacje więc posłańców bywały nierzadko puste i trzeba było czekać nieraz i godzinę, nim który z dalekiego „kursu“ powrócił.

Zarabiali dobrze, humory mieli wyśmienite, sypali conceptami jak z rękawa i frygali po mieście z werwą i szybkością kłusaków, czy wyścigowców, — a już w dni niektórych najpopularniejszych świąt: na Jadwigę, Zofję, Józefa, niepodobna się było ich doprosić.

Warszawski posłaniec miał niesłychanie cenny dar załatwiania takich naprzykład spraw drażli-



wych, jak: wydobywanie wyżej wzmiankowanych zaliczek i zastawianie w lombardzie.

— Znów chory! Posłaniec! Kto wam ten list oddawał?

— Sam pan, panie redaktorze! Naprawdę chory. Ledwo gada, a taki żółty, jak cytryna.

I nawet nie łągał pocziwy posłańczyna, bo istotnie autor listu i obiecywacz arcydzieł w srogim katzenjamerze „ledwo gadał“ i wyglądał jak po kwartalnej żółtaczce.

W lombardzie bywało nieco trudniej i trochę gorzej, ale i tu wierny pośrednik umiał sobie dać radę i przynosił za jakiś tam łachman zrudziały pewne quantum, z którego ściągał zresztą zaraz należny sobie haracz.

Klin się klinem wybija — „tym względem“
Wnet posłaniec smyrga naprzeciwno
I przynosi „dla chorego“ pędem:
Flachę sznapsa, przekąski i piwko.

A gdy z czupryn i z fajek się dymi,
Wierszokleta na posłańca mruga —
I posłaniec siada razem z nimi,
Bo to jego ta funda zasługa.

Znaczną rolę odgrywali posłańcy przy kasach teatralnych w godzinach nabywania biletów, zwłaszcza na występy jakiej znakomitości zagranicznej, albo którego czy której z najulubieńszych aktorów i aktorek warszawskich.

Sobie tylko wiadomemi sposobami mieli oni zapas tych biletów zawsze i gdy w kasie za nic już dostać ich nie mogłeś, posłaniec częstował cię — za potrójną, oczywiście, cenę, miejscami od pierwszego rzędu krzeseł aż do paradyzu.

Podobno kilku z nich dorobiło się na tym „interesie“ grubego majątku — i kamienic w Warszawie.

Ale najczęściej posłaniec załatwiał korespondencję — miłosną.

On czekał na odpowiedź, a nieszczęsny romantyk, ukryty za jakim przymurkiem, albo w pobliskiej bramie, czekał na posłańca.

I z pewnością ów wysłannik po dwudziestu pięciu dziennych kursach nie miał takiego bicia serca, jakiego dostawał zakochany w ciągu piętnastu minut czekania na liściki, które się kolekcjonowało z pietyzmem i pielęgnowało jak relikwje.

Aż tam kiedyś, w jakiś jasny ranek,
Ktoś ci serce weźmie jak w pętlę,
Biała rączka uniesie firanek —
I liściki fruną — na ulicę.

Gdzieś na wietrze, liściki, latacie,
A któż zgadnie, gdzie kres wasz i meta?...
Miałeś rację, posłańcze sensacie,
Że: „Kobieta to, panie... kobieta...”

DOROŻKARZ STAREJ DATY.

Wąs sumiasty, nos ponsowy,
Twarz koloru pomidora,
Płaszcz piaskowy, granatowy —
I do sznapsa chętna skora.

Gdy ruszając śmigie batem,
Gdy rozpędzi Rossynanty,
Poznasz jazdę z tęgim chwatem,
Z wygą kutym w cztery kanty.

Dawne to czasy. Nie było wtedy jeszcze ani tramwajów (oprócz dwóch konnych, pomalowanych na niebiesko, kursujących pomiędzy dworcem kolei Wiedeńskiej a dworcem Petersburskiej), ani elektryczności, ani telefonów, ani radja.

Natomiast miała Warszawa mnóstwo dorożek i to dwojakiemu gatunku: klasy pierwszej, parokonne, ze stangretem w liberji granatowej i z bładniebieską metalową chorągiewką przy koźle, i drugiej klasy, jednokonki, z woźnicą w liberji piaskowej i z chorągiewką żółtoczerwoną.

Typ dorożkarza ustalił się oddawna. Był to sobie jowjalny, dobroduszny jegomość, niegłupi, owszem rozgarnięty, zawsze gotów do pogawędki, znający doskonale wybitniejsze osobistości Warszawy i wszystkie miejsca zabaw od najwykwintniejszych aż do zupełnie wulgarnych, jak na przykład słynne sale taneczne: „Pod trzema murzynami“, „Pod trzema koronami“ i „Srebrna sala“.

Pan Wicenty, „pęknał“ z bata,
W dziesięć minut celu dotrze.
Ma w deróżce „parzygnata“,
Kominiarza i dwie „młodsze“.

Z wielkim szykiem zajechali,
Koń się pasie wyprzęgnięty —
I na sławnej „Srebrnej sali“
Hasa z gośćmi pan Wicenty.

Główne stacje dorożek mieściły się przy dworcach kolejowych, na placu Bankowym, nieporównanie bardziej, aniżeli dzisiaj, ożywionym, obok dawnej Komisji Przychodów i Skarbu i najelegantsze na placu Teatralnym, wprost dawnej redakcji „Kurjera Warszawskiego“ i popularnego „Stępka“.

Modą było podówczas wśród najbogatszych mieszkańców Warszawy jeździć nie własnym powozem, lecz dorożką. Miał swoją dorożkę ordynat Zamoyski, miał znakomity finansista Leopold Kro-

nenberg, ale najbardziej znaną była dorożka ulubieńca Warszawy, wesołego „hrabiego Gucia“.

Jeśli dobrze pamiętam, był to wehikuł opatrzonej numerem 1, z wybornymi rasowymi końmi i z niepomierne grubym stangretem na koźle.

Alejami grzmia tętent,
Z końskich boków piana świeci:
„Hrabia Gucio“ uśmiechnięty
Na wyścigi klusem leci.

Błyszczą uprząż, rwą rumaki...
Ujazdowska, Belwederska...
I powiada siaki taki:
„To mi jazda kawalerska!“

Mniej zamożna ludność Warszawy dorożek używała głównie w święta. Wtedy jeździło się na „dalekie“ spacer, na przykład: na Koszyki, na Powązki, na cmentarz ewangelicki, na Wolę do ogrodu Ohma, na folwark Świętokrzyski, lub odwiedzało się krewnych i znajomych, mieszkających przy odległych od śródmieścia ulicach: Hożej, Wspólnej, Pięknej, gdzie w owe czasy pomiędzy rzadkimi jeszcze w tych dzielnicach domami zieleniały liczne ogrody i złościły się zasiane zbożem pola. Nieboszczyk doktor Dobrzycki, znany meloman, opowiadał mi, że na ulicy Nowogrodzkiej za swoich młodych lat... polował na skowronki.

Inni dawniej byli dorożkarze, nie to, co dzisiejsi, cenili wysoko swój fach, uważając go za najzaszczytniejszy w świecie, zupełnie jak stary Weller w dickensowskim „Klubie Pickwicka“; trzymali się solidarnie i szanowali gości, nie tak wprowadzili wysoko, jak swoje konie, ale zawsze...

Pod jednym tylko względem nie różnili się od współczesnego automechana: nigdy nie byli zadowoleni z zapłaty.

Na koziołku sobie drzemie
Władca bata i dorożki,
Łeb frasowny zwiesił w ziemię,
Bo na rogu podpiał troszki.

Przypomina dawne lata,
Gdy gnał czwórką w lejc, mospanie...
Wtem się ocknął: „Hej, sałata!
Wolny?“ — „Wolny, jasnie panie!“

KRZYŻ NA LESZNIE.

Mai się w kwiatach stary krzyż
Wiosenną porą wczesną,
Zmęczone oczy podnieś wzwyż
Spojrzyj na twarz bolesną.

Ściszy się serce, spadnie ła —
I ruszysz znów pośpiesznie;
Lecz ci, choć w mgnieniu, spokój da
Odwieczny krzyż na Lesznie.

Niema go już oddawna. Na jego miejscu stanął przed laty kilkunastu nowy krzyż, ozdobniejszy, bogatszy; ale to już nie tamten krzyż prostaczków i „tych, którzy smutni“.

Stary krzyż dewniany, z pasyjką wyrobu samorodnego artysty, wznosił się od wieku z górą i błogosławił Lesznu i jego strudzoną mieszkanców. Od świtu do późnej nocy widziałeś kłęczące na ulicy postaci, a zwłaszcza w godzinach wieczornych, kiedy zapłonęła kolorowa lampka, oświetlająca pełne bezkresnej litości oblicze Boga-Człowie-

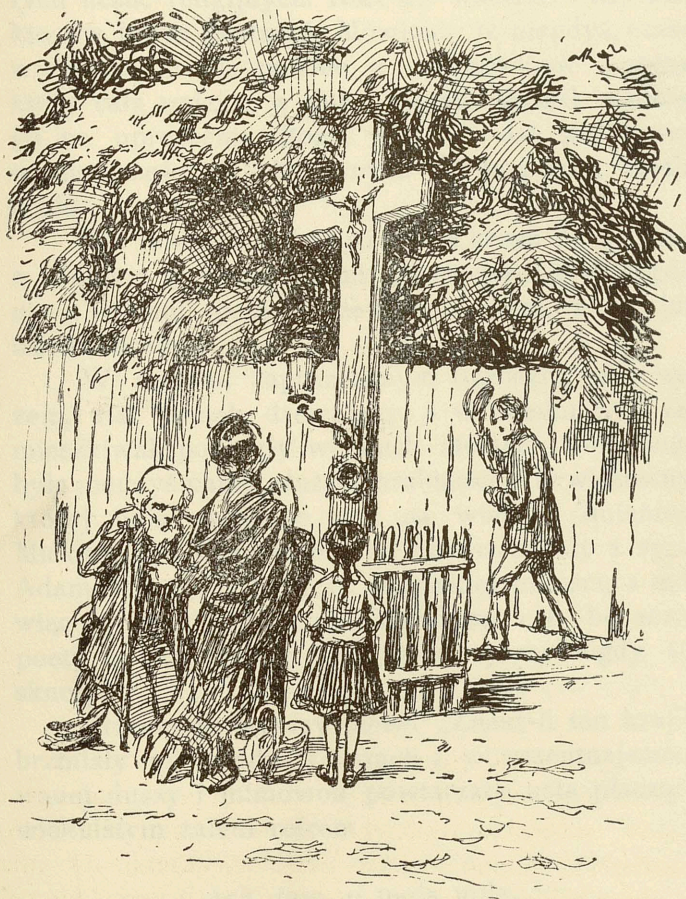
ka, przytulała się do stóp krzyża niejedna ofiara życia, i pierś rozmodlonego rozbitka wznosiła łkanie, sięgające na pewno do uszu Tego, który „wszystko rozumie i wszystko przebacza“.

Przy wielkim, zapuszczonym ogrodzie, pełnym drzew i chwastów, stał ów krzyż, ucieczka strapionych i pokrzywdzonych lesznian; białe płatki akacji spadały z za parkanu na głowę Chrystusa, opływała ją woń bzów, rosnących dziko w zaniedbanym sadzie, a gdy bawiące się dzieci napełniały wrzawą radosną ogród wiosenny, uśmiechała się twarz, skrwawiona i blada, pełna ziemskiego smutku i zaziemskiej dobroci.

Na małą główkę patrzył wzrok
Pełny litości świętej,
Że oto iść jej w ból i w mrok,
W burzliwych fal odmęty.

I że dla dziecka, tak czy tak,
W żalność i w smutek droga,
Póki trzepoce serce — ptak,
Aż do mogiły proga.

Pomiędzy Solną a Żelazną, po prawej stronie ulicy idąc od Rymarskiej, obok domu „gdzie straszny“, w pobliżu dawnych okopów, stał ów krzyż prastary. Ciche to było ustronie, dalekie od hałasów wielkiego miasta, półwiejskie prawie, bo pełno tam widniało jeszcze dworków, zapadłych w ziemię, z blaszanymi chorągiewkami na dachu, i peł-



no żyło ludzi starej daty, starego obyczaju i starych uczuć religijnych. Nikt nie wiedział i nie wie, kto ów krzyż postawił. Mówiono, iż niegdyś, czasu wielkiego moru, pewien z mieszkańców Leszna, który całą rodzinę w dniu jednym utracił, wznosił go na uproszenie Boga, aby mu dał siłę duszy w nieszczęściu i aby innych od podobnej klęski ocalił.

Dla mnie osobiście wiąże się krzyż na Lesznie z wieloma wspomnieniami dziecięcymi, a szczególnie z jednym, pełnem rzewnego uroku, z lat już młodzieńczych.

W starym, zapuszczonym ogrodzie, za krzyżem, stał domek drewniany, a w domku tym zamieszkiwał podeszły w latach stolarz. Żona jego była niegdyś panną służącą hrabianki Ankwiczówny, której imię związane jest na wieki z imieniem Mickiewicza. Opowiadała mi ona szczegóły z życia Adama i z życia tej jego rzymskiej miłości, a mówiąc prostemi słowy, dała mi odczuć cały ból serca poety i całą głębię jego nieukozonej nigdy tęsknoty.

Przecudne wyrazy pieśni „Znasz-li ten kraj?“ brzmiały mi wtedy w uszach i w rozentuzjasmowanej duszy i mimowoli powtarzały usta płaczący wiekuistym żalem refren:

„Ach, tam, o moja miła,
Tam byłby raj,
Gdybyś ty ze mną była!“

Goryczą poi życia zdrój,
Bezgrzesznieś żył, czy grzesznie...
Wstań mi w pamięci, krzyżu mój,
Z dziecięcych lat na Lesznie.

W nieznana otchłań płyną dni —
I coraz bardziej śpiesznie, —
Lecz pokrzepieniem sercu lśni
Stary mój krzyż na Lesznie.

OGRÓD SASKI.

Króla Augusta nie wślawił miecz,
Ni wielkich czynów blaski,
Ale Warszawie dał piękną rzecz:
Uroczy ogród Saski.

Tam snił się młodym miłości sen,
Tam rój dziecięcy hasa,
Więc, gdy wspomnimy na ogród ten,
Nie przeklinajmy Sasa.

„Salon“ Warszawy, który zresztą oddawna przestał już być salonem. Ale zato 30, 40 lat temu jakże inaczej działa się w tym pamiątkowym ogrodzie!

W alei „Westchnień“ przesiadywały zakochane parki, najczęściej akademicy lub kandydaci na poetów, w towarzystwie urodziwych bon i wesołych szwaczek, jakby żywcem z „Cyganerji“ Murgerowskiej na grunt warszawski przeniesionych. Aleja główna była terenem zabaw podrastającej dzieciarni, a pod fontanną na ławkach wygrzewali się eme-

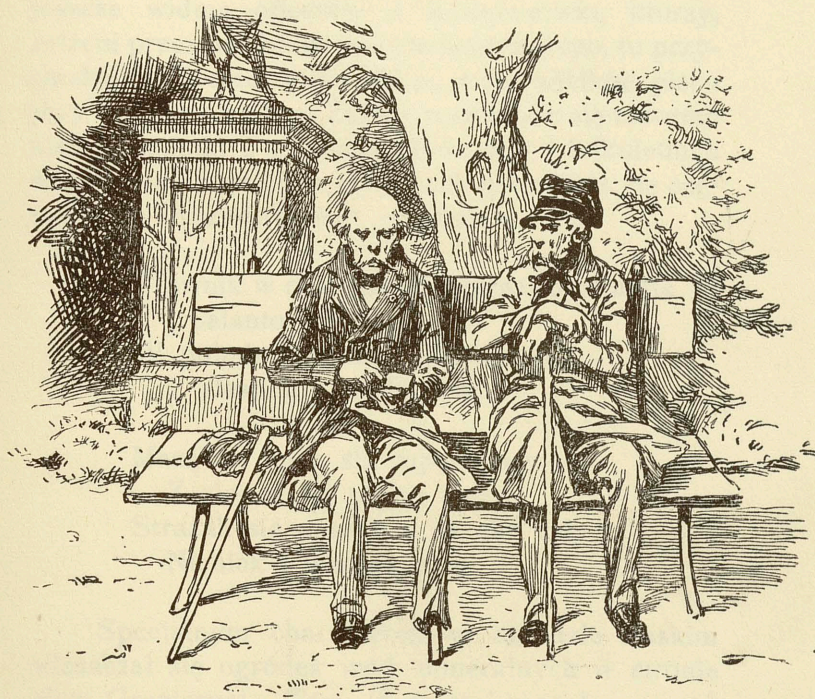
ryci, często prawie stuletni starcy, z modroczną wstążeczką „Virtuti Militari“ lub ponsową Legji honorowej w klapie staroświeckiego surduta.

Patrzył się taki zgrzybiały dziad
W ognistozłote słońce,
Wspominał werbel rycerskich lat,
Trąbki tryumfem grzmiące.

A zboku czyhał młodziutki żak
Z oczyma płomiennymi,
By z duszą starca wzlatać, jak ptak,
Za orły cesarskimi.

Najmodniejszą i najszykowniejszą była tak zwana aleja „Owocowa“. Tam, zwłaszcza w przedpołudnia niedzielne, po nabożeństwie, paradował cały wielki świat warszawski: najpiękniejsze kobiety, najwytworniejsza złota młodzież, pełna pewności siebie finansjera, a wśród tego tłumu, który literalnie zatłaczał całą aleję, zwracał zawsze uwagę ktoś, kto przyciągał spojrzenia wszystkich spacerowiczów.

Raz była to Modrzejewska, bawiąca na gościnnych występach w stolicy, innym razem Patti w tryumfalnym objeździe po Europie, oficer turecki w granatowym mundurze i czerwonym fezie, wzięty do niewoli w wojnie turecko-rosyjskiej, lub wreszcie słynny w Warszawie Miłosz z twarzą cygana lub Mefistofelesa, ów Miłosz tajemniczy, o któ-



rym krążyły legendy i który latał balonem, wykradał panny i siłą wzroku jedynie zapędził do klatki zpowrotem w ogrodzie zoologicznym dwa wspaniałe jaguary.

Na wzgórzu obok teatru Letniego snuły się jeszcze widma oficerów z Kongresówki, którzy, zelżeni przez wielkiego księcia Konstantego, tu przychodzili odbierać sobie życie; a na wielkim placu przy bramie od ulicy Żabiej rozkładały się taborem niańki i mamki z gromadą niemowląt i kilkuletnich dzieciaków, pomiędzy nimi zaś przesuwiał się często stogęsto wysztafirowany — strażak.

Trawnik w rumiankach płacze się w mgle
I palantowa meta;
W południe mamy zjawiały się
Z ciastkami od Eszteta.

Mażą się bąki, ślą zapach bzy,
Z słońca się ukrop toczy,
Strażak się puszył, a za nim szły
Nianiek i mamek oczy.

Specjalnym charakterem w ogrodzie Saskim odznaczał się ogródek wód mineralnych w stronie ulicy Granicznej. Tam od szóstej rano kuracjusze zapijali wody emskie i karlsbadzkie, a orkiestra pod dyрекcją Lewandowskiego wygrywała czarujące straussowskie walce i ogniste mazury i oberki, utworu samego kapelmistrza, bez którego udziału

łu nie mógł się podówczas obejść żaden bal warszawski.

Chorzy stanowili jednak znikomą zaledwie część publiczności; większość składała się z pensjonarek i sztubaków, którzy przed pójściem do gimnazjum czy na pensję chcieli posłuchać dobowej istotnie muzyki, popatrzeć sobie w oczy i płonąć pierwszymi rumieńcami budzących się młodocianych uczuć.

A kiedy zapadł wiosenny zmierzch,
Wonny, perlisty rosa,
Zda się, nad starych kasztanów wierch
Dawne się lata niosą.

Dam rokokowych rozbrzmiewa śmiech
Na złotym piasku alej
I brzmi kaskada dalekich ech:
„Kochaj mnie, pieść i szalej!”

„POD KOPERNIKIEM.”

Błyska z obłoków ranna godzina
Złotym promykiem,
Dżdżysty jesienny dzień się zaczyna
„Pod Kopernikiem.”

Deszcz bije w szyby i cicho płacze,
Jak serc muzyka...
Ciagną szatkarze, wloką się tracze
„Pod Kopernika.”

Jakie niezwykle, oryginalne figury; jakie charakterystyczne, pełne temperamentu postaci, znane dzisiejszemu pokoleniu już tylko ze starych pism ilustrowanych, jeśli je kto jeszcze w chwilach nudy przegląda. Oto gromadka żylastych, siwych traczy; każdy z nich ma piłę i siekierę, każdy prawie w dziurce granatowej czy tabaczkowej kapoty nosi kolorową wstążeczkę: pamiątkę dawnych lat chwały, wspomnienie legendarnych bojów, o których mówić — nie wolno.

Ruchy wojskowe, postawa sprężysta, wyprostowana, dziarska, na głowie rogatywka, a przy

kapocie ten i ów guzik połyska numerem pułku. A jakie miny zuchowate, a jakie wąsiska sumiaste, a jakie nosy czerwone lub fioletowe, bo — powiedzmy to odrazu — nie gardził wiarus blaszanką okowity, czy też — lepiej jeszcze — kielichem araczku.

Inni, inaczej ubrani, młodszy, byli „szatkownicy“. To pokolenie odmienne, późniejsze. Nie regularne już wojsko, lecz partyzantka. Zdarzali się między nimi niedobitki z legjonu polskiego na Węgrzech, z walk Garibaldiego, z oddziałów Maksymiljana w Meksyku, — ale przede wszystkim powstańcy z 1863 roku.

Rzecz prosta, nie wszyscy tracze i nie wszyscy szatkownicy byli dawnymi żołnierzami, ale jednak w pewnej epoce stanowili oni większość a przynajmniej okrasę owych pracowników z „pod Kopernika“, czekających od świtu na robotę i zanoszących ciężko zdobyty grosz do domków i lepiarek na Powiślu, gdzie gnieździł się tradycyjnie i gdzie czuli się w swoim właściwym świecie.

Wprost „Pod Karasiem“ szynk dorożkarski

Rozbrzmiewa gwarem,

Tracz marsowaty, szatkownik dziarski

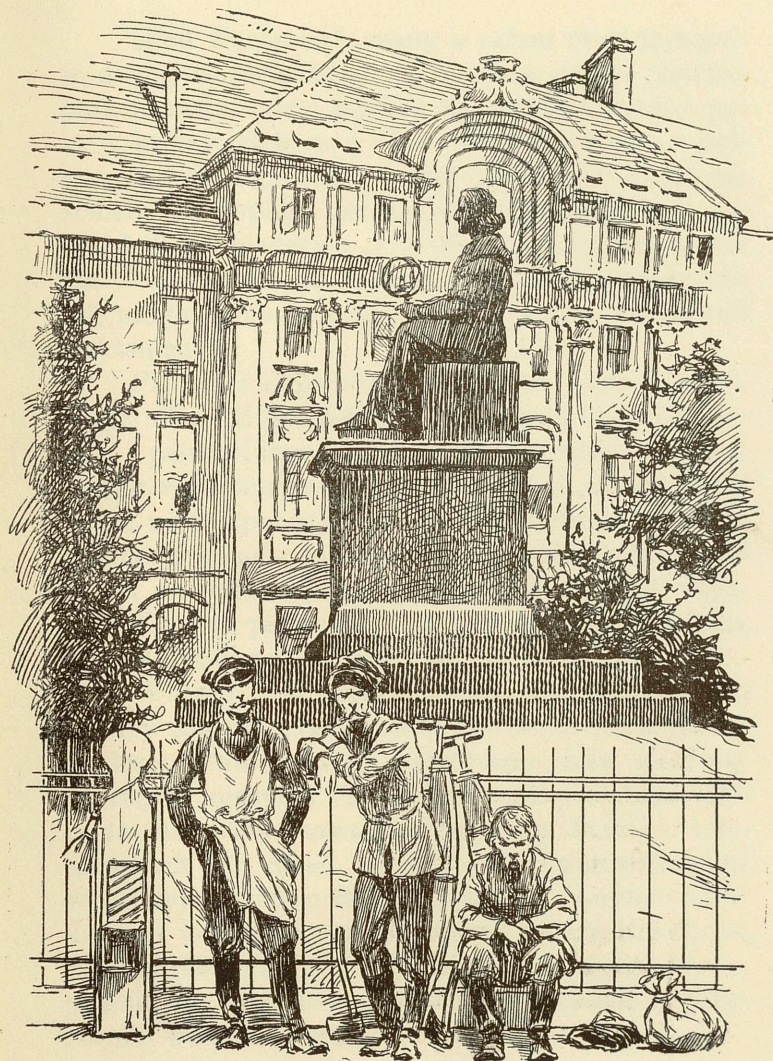
Są jak pod czarem.

To deszczyk zatnie, to wicher smagnie:

Złe z tego skutki...

Młody a głupi dziewczyny pragnie,

Stary — chce wódki...



„Pod Karasiem“, znany w całym mieście szynk w dawnym, nieistniejącym już dziś pałacu kasztelana Karasia, gdzie mieścił się niegdyś korpus paziów królewskich, pod dowództwem surowego pułkownika Königsfelda — był ulubionym miejscem schadzek i popijań dorożkarzy warszawskich. Zazdrościli im biedacy z „Pod Kopernika“, którzy dopiero wieczorem, po uzyskaniu roboty i wypełnieniu jej, mogli sobie pozwolić na jednorazowy, krótki traktament.

Piękne i imponujące miał otoczenie pomnik Kopernika. Z prawej strony stylowy z ładną fasadą pałac Karasia i dalej, za wylotem Obożnej, szereg wybornie zachowanych, starych kamieniczek; w tyle nieszszepecony jeszcze przez Moskali monumentalny gmach dawnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; na lewo szlachetny, poważny kościół Świętego Krzyża, pamiętny pogrzebem księcia Józefa, księcia Adama Czartoryskiego, pięciu poległych.

Widział ów pomnik wiele rzeczy. Widział między innymi, jak po zamachu na Berga z pałacu Andrzeja Zamoyskiego wylatywał z okna porąbany na części fortepian Chopin'a, — jak pod paszczami armat ustawiono mieszkańców tego domu i trzymano ich tak dzień cały, — jak cwałowali obok w dzikiej szarży, gwiżdżąc i wyjąc, czerkiesi z kindzałami w zębach, pod komendą księcia Bebutowa, i jak z pierwszego rosyjskiego gimnazjum wysypywała się gromada dyszących nienawiścią, przyszytych obrusitielej „Prywislinja“.

Minęło!
Zdarzały się też i obrazki zabawne. Patrzy-
łem na to własnymi oczyma, jak jakiś poczciwy
chłopina z wsi podwarszawskiej klęknął na błocie
„Pod Kopernikiem“ i, zdjawszy pilśniowy kapelusz,
bił się w piersi pobożnie, w przekonaniu, że odda-
je należne hołdy jakiemuś wielkiemu świętemu,
może — patronowi Warszawy.

Idzie wieczorna szara godzina,
Co duszę smęci,
Korowód widzeń snuć się zaczyna
W mojej pamięci.

Jakieś gawędy wpadają w ucho,
Gwarzą z pomnikiem...
Otwórzmy oczy: pusto i głucho
„Pod Kopernikiem.“

„POD DZWONNICĄ“.

Obok kościoła Bernardynów,
Ku Wiśle mając lico,
Tkwiała wiadoma z sławnych czynów
Kawiarnia „Pod dzwonnica“.

Czyny te pamięć zapisała,
Wypadek był to rzadki:
Ona jedyna w mieście miała
Araczek do herbatki.

Z przedsionka wchodziło się wprost do pie-
kielnie zadymionej izby, gdzie gwar uczujących za-
mieniał się niekiedy w istną orgję harmidru i potępień-
czych wrzasków. Izbę tę, największą i najbardziej
zwykle wypełnioną, uważali za niepodzielną swoją
własność studenci uniwersytetu i młodzi artyści
wszelakiego autoramentu. Wśród artystów prze-
ważali malarze. Oni byli najweselsi, najkrzykliwsi
i najbardziej wygadani. Rzeźbiarze, których zresztą
zjawiało się paru zaledwie, odznaczał się mrukli-
wością i posępnym humorem; poeci zaś woleli

tworzyć osobne kółko, w którem czytawali sobie półgłosem najnowsze swoje utwory.

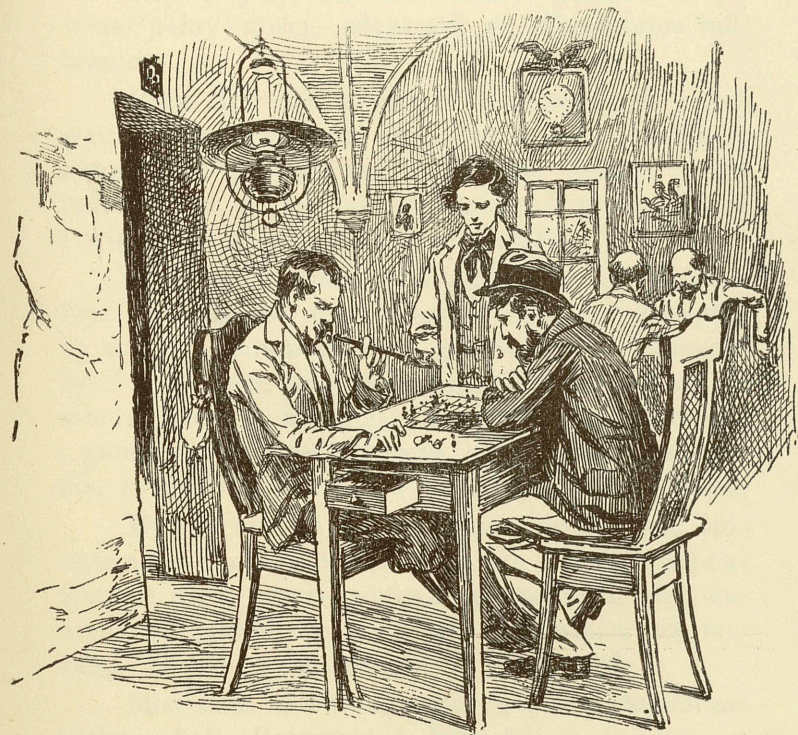
W tej izbie szły najęściej wielkie szklanki herbaty, a do każdej szklanicy dołączano małą flaszeczkę araku. Drogi to był luksus, bo taka porcja kosztowała całą złotówkę.

Z gęstych się czupryn arak kurzy, —
Niech młodzi piją zdrowi!
Bo znana rzecz: kto sztuce służy,
Służy i Bachusowi.

Trudno, gdy wzburza trunek chwacki,
Milczeć, jak bożek chiński:
Tu buchnie: Asny! tam: Słowacki!
A ówdzie: Podkowiński!!

W izbie drugiej paradował potężny bufet, na którym dominujące miejsce zajmował półmisek z pieczonym prosiakiem. Ponieważ owego prosiaka widziałem zawsze w całości bez szkody na ciele, myślałem, że musiał on trwać od początku istnienia zakładu aż do jego zaszczytnego końca.

Natomiast produktem, który znikał „masowo“ z bufetu, były ogromne bułki, tak zwane „parki“, posmarowane czemś, co — nie w smaku, lecz z wyglądu — przypominało masło i obłożone było serem litewskim lub plasterkami szynki „w pęcherzu“. Z tego pokoju, który miał widok na niewielki ogródek i na Marjensztadt, a bokiem na Zjazd pod



Zamkiem, korzystali kundmani pomniejszej rangi społecznej, ale zato solidni i „gotówkowi“.

Lecz najciekawszy był pokój trzeci.

Najmniejszy, najzacisniejszy, pomimo iż zawsze pełny gości, odznaczał się absolutnem milczeniem.

Przy licznych stolikach siedziały figury dziwaczne, staroświeckie, skupione w sobie, rzekłbyś, automaty z panopticum, gdyby nie leniwe, jakby paralityczne, ruchy rąk, stawiających pionki, konie i wieże lub krągłe warcabowe krążki.

Była to bowiem izba szachistów i warcabiarzy. Z pokoiów pierwszego i drugiego zaglądali tu niekiedy zainteresowani grą kundmani. Patrzyć było wolno, ale, broń Boże, nie robić żadnych uwag; wtedy bowiem automaty ożywiały się raptownie i gniewliwemi mruknięciami dawały do zrozumienia, że galerja jest zgoła zbyt uczęszczana i niepożądana.

Bywali tam zapaleńcy, przesiadujący nad stolikiem od rana do wieczora, a raz zdarzyło się nawet, że dwaj gracze uprosili gospodarza, aby, zamykając zakład, zostawił ich w kawiarni na noc całą. O świcie zastano ich — grających!

Mistrzami w odtwarzaniu na płótnie takich załączków byli: Pęczarski i Rapacki, w opisywaniu ich — Gomulicki i Wacław Szymanowski.

Znikłś, kawiarnio „Pod dzwonnica“,
Twą młodzież los rozgonił;

Przemknęło życie błyskawicą, —
Niejeden je roztrwonik.

Głupstwo spoglądać w to, co było,
Mokrą od łez żrenicą.
Ale się dobrze gawędziło
W kawiarni „Pod dzwonnica...”

W I A N K I.

Na wiślanej fali
Kwietne wianki płyną.
Dalej, jak najdalej
Ciśnij go, dziewczyno!

Niech się z falą toczy
Skrzydłem białej piany,
Niech go tłum nie zoczy, —
Niech schwyta wybrany!

W czarodziejską noc Janową, kiedy to po borach i lasach zakwita tajemniczy kwiat paproci, odsłaniający zakłète skarby, ukryte w ziemi, i skarby ludzkiego serca kochającemu sercu pokazuje, odwiecznym zwyczajem z prasłowiańskich czasów palą się sobótki na polanach, a dziewczęta rzucają wróżebne wianki na wodę.

Z roku na rok, z wieku na wiek, tak było i tak będzie zawsze; bo dusza ludzka przy każdej sposobności ucieka od szarzyzny życia i wyrывa się do tego, co piękne, co upragnione, co mieszka gdzieś

w nieznanej krainie, za siedmioma rzekami, za siedmioma górami, w mistycznym królestwie snów i marzeń.

Kraszewski w „Starej baśni“ jakże cudnie słowami wymalował obraz tej nocy uroczej z jej czarem i niepokojem, z jej pieśnią prastarą i z jej obrzędami, które w znacznej mierze pozostały do dzisiaj w pamięci, w wierzeniach i w praktykach naszego ludu.

W ogniu stoją drzewa
Od płonących stosów;
Bór, jak lutnia, śpiewa
Gędbą setnych głosów.

Nocne mgły się kładą...
Świt lśni gwiazdą białą...
„Hej, Kupało! Łado!...
Hej, Łado, Kupało!...“

Warszawa od dawnych lat uroczyście odświeżała „Wianki“, ale modnym i oczekiwanym stał się ten piękny obrzęd od chwili powstania warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Wioślarze wzięli ów pamiątkowy obchód całkowicie w swoje ręce i — trzeba przyznać — umieli go urządzać poetycznie i interesująco.

Wisła płonęła od tysięcy świateł; szeregi udekorowanych łodzi, galarów i kryp w różnobarwnych lampionach, z ukostjumowanymi paniami na pokła-

dzie, przepływały przed siedzącą na specjalnych estradach i zgromadzoną na brzegu publicznością; na falach unosiły się wianki, częstokroć ozdobione płonącymi świeczkami, orkiestry grały na statkach, a nad tem wszystkim unosił się skrzydlaty wspomnieniem duch przeszłości.

Moskale nie lubili „Wianków“, jak zresztą nie lubili wszystkiego, co Warszawie przypominało dawne, swobodne lata. To też trudno było uzyskać pozwolenie na urządzenie tych oryginalnych widowisk i pierwszy prezes Tow. Wioślarskiego, energiczny i rzutki Ludwik hr. Krasiński, sporo miał co rok ambarasu i trudu, zanim placet władz policyjnych otrzymał.

Wzrok się barwą karmi,
Grzmią okrzykiem brzegi...
Kręcą się żandarmi
I czyhają szpiegi.

Odsuwa się lotem
Czas ów z męką krwawą
I nie wiesz dziś o tem,
Szczęśliwa Warszawo!

Amfiteatralnie wzniesione Stare Miasto z domków swych pradawnych, jak z jaskółczych gniazd, przypatrywało się „Wiankom“. Z okienek staromiejskich patrzyły panienki, rozglądały się leciwe panie, przyciemnionymi oczami sięgały w dal srebrzyste matrony. Cieszyli się młodzi, ale bardziej jeszcze

radowali się starzy, że obyczaj nie zanika, że przy-
biera piękniejsze formy i zapada w duszę narodu,
aby w niej pozostać na długo, na zawsze.

Stare Miasto zerka:
Ono wie i słucha,
Że mała iskierka
W płomień się rozdmucha.

I czeka z tęsknotą
Na nowe poranki,
Co nie takie splotą,
Lecz z wawrzynu wianki.

SASKA KĘPA.

Saska Kępa w słońcu tonie,
Bujną trawą szumi błonie,
Szumią lipy i kasztany, —
Świat radością roześmiany.

Idzie „piechtą“ szwiec z rodziną,
Piękne panny łódką płyną,
Będzie taniec w skocznem tempie
Na wesołej Saskiej Kępie.

Na przystani na „Szulcu“, skoro świt, w dni
wiosenne i letnie, zwłaszcza w niedzielę, brzmia
gwar nieustanny, śmiech, zamęt, nawoływania, przeł-
platane gęsto przekleństwami konkurujących ze so-
bą przewoźników.

Na flagach, rozwianych na wietrze, widniały
napisy: „Salamoński“ (właściciel słynnego podów-
czas w Warszawie cyrku), „Piękna warszawianka“,
„Najbezpieczniejsza“, „Różyczka“, „Wiarus“ i roz-
maite inne, a „łodziarze“ w wysokich palonych bu-
tach, albo i boso, ale zawsze tego, jak się to dziś

mówi, „podgazowani“, najwymyślniejszymi zachętami i pochwałami zapraszali publiczność do swoich statków, z których przed odbiciem od lądu trzeba było garncami wybierać wodę.

Nareszcie po długich ceregielach zdecydowano się na wybór. Panny, unosząc sukienek, z krzykiem udawanego lub rzeczywistego przestachu, wskakiwały do łodzi przy pomocy wyelegantowanych młodzieńców, starsze jejmoście gramoliły się niezdarnie, nawołując zagapione dzieciaki, panowie poważnie wkraczali na statek, obładowani pełnemi wiktuałów i flaszek kosztami, a nierzadko ktoś z najniezgrabniejszych wpadał do wody, ku niesłychanej ucieście „pomagierów“ przewoźniczych i licznie zgromadzonej na wybrzeżu nadwiślańskiej łobuzerji.

Szara Wisła łódka płynie, —
Jakże miło na głębinie!
Słońce pali, wietrzyk chłodzi,
Rączka w rączkę szepcą młodzi.

Wiosła pluszcza, szemrze fala,
Już „Pod dębem“ widać zdala,
Nuci wiosłarz piosnki szczere,
Jak wenecki gondoliere.

A na Saskiej Kępie miejscowości, gdzie doskonale zabawić się można, bez liku. Najsłynniejsze: „Pod dębem“, „Pod oleandrem“, „Pod różą“ zapchane po same ściany; trzeba sypać „Pod orzecha“ albo też poprostu rozłożyć się obozem na tra-

wie i, pokrzepiwszy siły, zwątlone rzeczną podróżą, zabrać się do tańca przy dźwiękach żydowskiego tercetu: skrzypce, bas i trąbka, czyli wędrownej kapeli, jaką z takim bajecznym humorem opisał w „Muzykantach“ Klemens Junosza.

Po chwili też zjawia się niewątpliwie ostatni z „cymbalistów wielu“, tradycyjnie nazywający się Jankiem, który grą swoją, istotnie artystyczną, zachwyca zgromadzonych i „oddaje wiatrom“ smętne a ogniste czardasze i dostojne polonezy.

Przybywa też nieodzowny, popularny od lat dawnych na Saskiej Kępie stary Abramek, z koszem karmelków i czekoladek i ze swoim stereotypem: „Śliczne panienki, ładne kawalery! do karmelki! do karmelki! do czekoladek! Psiegrał — nie wigrał!“

Ach, niejedna tu zabawka!
Karuzela i huśtawka;
Panna suknię sznurkiem spina,
Bo wiatr psoci, figlarzyna!

Coraz wyżej, coraz wyżej,
Aż się niebo do nich zbliży,
Aż się pannie kręci w główce.
Dobrze bywa na majówce!

Starsi zaś panowie, pragnący rozrywki mniej poetycznej, a zato bardziej interesującej, zdjawszy surduty i kamizelki, zapalczywie, z całą namiętno-

ścią fanatyków, oddają się starodawnej i szanowanej grze w kręgle i walą kulami, wołając co pewien czas tryumfalnie: „Partja!”

Wtedy następuje chwilowy odpoczynek, urozmaicony fundą, składającą się z kolejki piwa, które stawia ów, co poszkapł się i przegrał.

Zmrok zapada, księżyc wschodzi,
Wioślarz woła: „Czas do łodzi!”
Chwiejne nogi kiepsko niosą
Przez trawniki lśniące rosą.

A na statku cisza głucha,
Szwiec się Marcin „ledwo rucha”,
Śpią i chrapią niegdyś żwawi...
Niech im Pan Bóg błogosławi!

BIELANY.

Kwiaty białe i czerwone,
Jak barwiste łątki,
Wabią ludzi uśmiechnione
Na Zielone Świątki.

Wszystkie domy umajono:
Lśnią tatarskiem zielem, —
A Warszawian oczy płoną
Słońcem i weselem.

Najczarowniejsze święto doroczne, poświęcone wiosnie odradzającej świat, kipiące zabawą, ogarniającą wszystkie sfery i stany. Od dawnych, dawnych lat Zielone Świątki łączone były nierozdzielnie z obowiązującą całą Warszawę wycieczką na Bielany, do starego klasztoru Kamedułów, gdzie w lasku Bielańskim od czasów Stanisława Augusta w oba te dni radosne rozbrzmiewała okolica gwarem i śmiechem, muzyką i śpiewami.

Król wybierał się zazwyczaj z całym dworem, a za królem ciągnęli magnaci, senatorowie i posło-

wie w szykownych dąglowskich pojazdach, patrycjat i mieszczaństwo warszawskie, niewiele ustępujące, a może i przewyższające szlachtę bogactwem i strojami, a wreszcie wyświąteczniony kolorowo skromny ludek stołeczny z przedmieść i zaułków Warszawy.

Tłum poddańczy z ukłonami
Cofa się na strony:
Jedzie dwornie król z damami
Gwardją otoczony.

A pięknotkom, jak kwiat świeży,
Jak Cyd romantyczny,
Asystuje wódz młodzieży,
Książę Pepi śliczny.

W bohaterskiej epoce Księstwa Warszawskiego, rozbrzmiewającej dźwiękiem trąb bojowych, szczękiem szabel, gromami armat i łopotem do tryumfu wiodących sztandarów, Bielany straciły nieco na popularności; odwiedzała je w Zielone Świątki uboższa, mocniej trzymająca się obyczaju ludność Warszawy, przyciśnięta podatkami i kwaterunkiem, a więc tem chętniej szukająca rozrywki i chwilowego chociażby zapomnienia o ciężkich warunkach życia. „Kongresówka“ odnowiła tradycje bielańskie, znów zaczął je odwiedzać w Zielone Świątki wielki świat warszawski, wśród którego prym trzymali wymusztrowani i opięci, barw-

ni oficerowie świetnego wojska polskiego, z pułków konstytuujących w stolicy: grenadierzy gwardji, artylerzyści konni, piechota linjowa i strzelcy piesi.

Nawet wielki książę Konstanty z księżną Łowicką bywali na Bielanach; jeździł tam również ze swą wiecznie rozromansowaną małżonką namiestnik, nielubiany i niepopularny książę Zajączek.

Z żrenicami, które rażą,
Jakby ciosy knuta,
Gna Konstanty z mopsią twarzą,
A za nim Kuruta.

A wśród grona oficerów,
Z Chłopickim na przedzie,
Śniąc o sławie bohaterów,
Łukasiński jedzie.

A potem przyszły lata szare, smutne i przygnębiające. A jednak Bielany nie przestały być nigdy miejscem przyciągającym wszystkich w dni Zielonych Świątek. Sztajnkierkami i wagnerkami, powozami i bryczkami, ekstrapocztą, łódkami i statkami, kónno i pieszo sunęły tłumy na wybrzeże wiślane tańczyć na trawie, grać w „zielone“, ucztować, jeździć na karuzeli, wznosić się na huśtawkach „nad poziomy“ i zakupywać, oprócz innych smakołyków, słynne bielańskie pfeferkucheny.

Kurz się wokół wzbija srogi,
Upał, niech Bóg broni!

Ale same skaczą nogi
Przy dźwiękach harmonji!

Na wiślane leci fale
Zapał rozhukany
I odgrzmiały echem dale:
„Niech żyją Bielany!“

WSPOMNIENIE.

W 44-tą rocznicę.

Świat, co bajką jest, snem i marzeniem,
Dziwny i odrębny świat,
Tak jak miłość, wita go się z drzeniem, —
Gdy się ma piętnaście lat.

Płomień pragnień w twojem sercu nieci
Kraj, gdzie kwitnie pieśni kwiat, —
I, jak ćma do światła, doń się leci, —
Gdy się ma piętnaście lat.

„Piętnastoletniemu Arturowi O. Prosimy o zgłoszenie się do redakcji.“

Taką odpowiedź zamieścił był „Kurjer Warszawski“ pewnego lipcowego dnia, roku Pańskiego tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego.

Odbiorcą byłem — ja.

Kiedym to przeczytał, świat zawirował mi przed oczyma, a do głowy buchnęła fala krwi gorącej jak ukrop.

Stało się bowiem, iż przed paroma dniami zaniósłem osobiście i wrzuciłem do skrzynki redakcyjnej, przeżegnawszy się uprzednio trzy razy, manuskrypt, zawierający kilka poezyj, napisanych i przepisanych ukradkiem, w głębokiej tajemnicy nie tylko przed rodziną i kolegami, ale nawet przed pewną szafirooką panienką.

Wieczór był chmurny i dżdżysty, zadania algebraiczne (znieawidzone gruntownie) czekały, ale któż oprze się takiemu wezwaniu, notabene, w skromności nieletniego poety najzupełniej nieoczekiwanemu.

Pobiegłem na plac Teatralny.

W domu, w którym mieściła się sławna restauracja Stępkowskiego, rezydował od lat dawnych w niepokążnej lewej oficynie popularny „Kurjerek”.

Po wąskich schodach, zatrzymując się co chwila, wszedłem na pierwsze piętro i, stanawszy przed drzwiami, wejść nie miałem odwagi.

Wtem usłyszałem za sobą czyjeś kroki. To zdecydowało. Szarpnąłem klamkę i nawpół przytomny wszedłem.

Redakcja!

W pierwszym pokoju, przy stoliku pod oknem, siedział i pisał jakiś bardzo piękny pan, który nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, pomimo iż złożyłem mu wysoce niezgrabny, ale zato niesłychanie czołobitny ukłon.

Natomiast z pokoju drugiego, w kłębach tytoniowego dymu, wyjrzała jakaś tłusta, jowjalna

twarz i usłyszałem głos, który wydał mi się dzwiękiem trąby archanielskiej, wzywającej mnie na sąd ostateczny:

„A czego to kawaler sobie życzy?”

Moment — i znalazłem się przed drewnianą kratką, taką, jaka odgradza zwykle kasjerów bankowych od publiczności, do której się naogół nie ma zbyt wielkiego zaufania.

Za kratką stał ów jegomość z jowjalną twarzą, grubawy, w czarnej marynarce, w aksamitnej brązowej kamizelce, z niedopałkiem cygara w mięsistych czerwonych ustach. Obok siedział okramkiem na krześle i przyglądał mi się lekkodrwiącymi oczyma pan, podobny do Anglika (znałem ich z ilustracji) z niewielkimi faworycikami, w kapełuszu nabakier i z „hawelokiem”, przerzuconym przez ramię.

— Proszę pana — bąkałem urywanym głosem — proszę pana... to ja właśnie jestem ten „piętnastoletni Artur O.”

I wyciągnęłem z kieszeni „Kurjerek” z odpowiedzią.

— Aaa!

Jowjalna twarz uśmiechnęła się życzliwie i serdecznie, grubawy jegomość wylazł z za kraty i podał mi rękę, którą uścisnąłem z takim szacunkiem, jakbym w jego osobie ścisnął całą literaturę polską.

— Jestem Sabowski. Panie Tadeuszu! to autor tych poezyj, o których panu wspominałem.

— Czapelski — przedstawił mi się uprzejmie dżentelmen z hawelokiem.

— Panie Czesławie!

Z pierwszego pokoju wyszedł ów młody, piękny pan.

Istotnie był czarujący. Modre, rozmarzone oczy, bujna jedwabista czupryna, blada twarz, błękitny szalik na szyi. Prawdziwy poeta!

— Panie Czesławie! kolega.

Boże drogi! Sabowski — Wołody Skiba! Czesław — twórca „arabesek“! Czapelski, taki świetny dziennikarz! Kogoż to ja poznaję!

I zakręciło się znowu w mojej piętnastoletniej głowinie.

— Będzie chleb z tej mąki, kawalerze, — mówił Sabowski — będzie na pewno. Jesteś, kawalerze, poetą!

Otworzyły się podwoje raju...

Dźwięki, barwy, wiosny woń...

Chmurny lipcu!... o, nie! jasny maj!

Widzę wawrzyn na mą skroń...

Czy to jawa? Czy marzenie? gdzie to?

Ginie wszystko w srebrnej mgle...

Powiedzieli mi: „Jesteś poetą!...”

Jakże „ona“ zdziwi się...

A Sabowski począł mnie wypytywać: Jak się nazywam? Kto są moi rodzice? W której klasie

jestem? (byłem w mundurku). Czy dawno piszę? Których poetów lubię najbardziej?

Po chwili zaś:

— Panie redaktorze! Panie Aleksandrze!

— A co tam?

I na kręconych wewnętrznych schodkach, które dopiero teraz zauważyłem, ukazali się dwaj panowie: siwy staruszek o niezmiernie miłej, pociągającej, tryskającej dowcipem twarzy i trzydziestokilkoletni człowiek w ciemnych okularach, szczupły, o wyglądzie raczej melancholijnym.

— Nowy poeta — zarekomendował mnie Wołody Skiba.

Wacław Szymanowski — on to był bowiem — posadził mnie odrazu obok siebie na staroświeckiej wygniecionej, czarną ceratą pokrytej kanapie; Prus potrząsnął mocno moją ręką, ale mruknął przez zęby:

— Djabli nadali z tymi poetami.

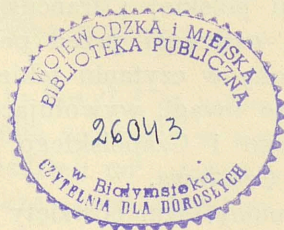
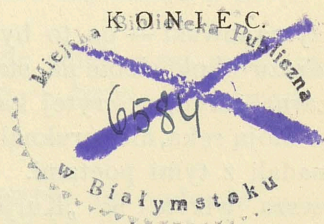
Moja pierwsza wizyta w „Kurjerze“ przeciągnęła się chyba do dwóch godzin. Szymanowski mówił o poezji polskiej i francuskiej, dawał wskazówki i rady, ostrzegał przed pesymizmem. Prus, nibyto zatopiony w czytaniu jakiegoś pisma, robił co pewien czas uwagi, wywołujące wybuchy śmiechu Sabowskiego i Czapelskiego, a irytację Szymanowskiego i Czesława.

Ja byłem olśniony, wniebowzięty — i ogłupiały doszczętnie.

Tak oto wyglądała dawna redakcja i taki był początek moich stosunków z „Kurjerem“.

Czy pamiętasz, mój drogi Czesławie,
Ten daleki, piękny świat,
Gdyśmy obaj marzyli o sławie,
Rwali pierwszych pieśni kwiat?

Tak minęło, jak sen, co przeplata
Życie: blichtr, złudzenie, kłam...
I dziś czegoż my chcemy od świata?
Powiedz, — bo ja nie wiem sam...



SPIS RZECZY.

	Str.
Warszawa od strony Wisły	3
Kanonja	9
Podwórko	17
Sień	25
Szyldy i znaki	31
Gołębie	37
Facjatka	41
Strych	47
Piwnica Fukierowska	53
Cukierenka	59
Pierwsze fiołki	63
Wiosna w zaułku	69
Deszcz	73
Kwitnące bzy	77
Zapalają latarnie	83
Panna z magazynu	87
Posłaniec	91
Dorożkarz starej daty	97
Krzyż na Lesznie	101
Ogród Saski	107
„Pod Kopernikiem“	113
„Pod dzwonnica“	119
Wianki	125
Saska Kępa	129
Bielany	133
Wspomnienie	137

821. 162.1

Oppman
Moje

26043

„KSIĘGARNIA P

TOW. POLSKIEJ MACIERZ

WARSZAWA, WARECKA 15,

poleca:

	Zł. gr.
BIELIŃSKA M. Dwaj przyjaciele. Opow. na tle wspo- mnień rodzinnych z 1831 r.	— 20
BOGUSŁAWSKA M. Drobiazgi. Obrazki z codziennego życia.	1 12
— Gospoda „Pod modrym fartuszkim“. Pow. hist. z dziejów Pomorza.	1 40
CZAPLIŃSKI E. Cenny towar.	— 60
ERCKMAN i CHATRIAN. Dzielni górale.	2 60
JEŻ T. T. Piotr i Asan. Pow. hist. z dziejów Słowian Bałkańskich.	— 40
KONARSKI K. Legendy.	3 50
KOWERSKA Z. Na służbie. Pow. w 2 t.	7 —
KRASZEWSKI J. I. Kordecki. Pow. hist. z ilustr. St. Ba- gieńskiego.	opr. 8 —
KRESOWIEC. Zatrute ziarna.	— 24
MAJEWSKA Z. Najdroższa matka.	— 32
OPIOŁA T. Pokorni oracze.	2 —
RAWITA-GAWROŃSKI F. Dzieje rodziny Żywotowskich. Część I: Marzenia (Rok 1846). Część II: Czyn (Rok 1863).	po 1 —
— Moje przygody w r. 1863 i 1864 w Kijowie.	— 92
RZĄDKOWSKI J. Żołnierz nieznany.	2 50
ZAHOROWSKA K. Zmartwychwstanie. Opowiadania.	2 50
ŻYCKA L. Cichy bohater.	— 36